

**AMBROSE BIERCE**

**CZY TO SIĘ MOGŁO  
ZDARZYĆ?**

PRZEKŁAD: KRYSZYNA KORWIN-MIKKE



WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW 1981

## Tajemnica Wąwozu Macargera

Na północny zachód od Indian Hill, około dziewięciu mil lotem ptaka, leży Wąwóz Macargera. Nie jest to właściwie wąwóz — zaledwie niecka pomiędzy dwoma zalesionymi, niewielkimi wzniesieniami. Odległość od wlotu do wylotu — albowiem wąwozy, podobnie jak rzeki, posiadają własną anatomię — nie przekracza dwóch mil, a szerokość dna w jednym tylko miejscu przewyższa dwanaście jardów; brzegi małego potoku, który wylewa zimą, a wysycha wczesną wiosną, wznoszą się na prawie całej jego długości od razu pionowo ku górze. Strone zbocza wzgórz, pokryte nieprzeniknionym niemal gąszczem *manzanilli* \*, rozdzielone są jedynie szerokością wstęgi strumienia. Nikt, prócz przypadkowego przedsiębiorczego myśliwego z owych okolic, nigdy nie zapuszcza się w głąb Wąwozu Macargera, który poza zasięgiem pięciu mil nie jest znany nawet z nazwy. W tymże promieniu we wszystkich kierunkach wznoszą się znacznie okazalsze punkty topograficzne bez nazw i na próżno by próbować dociekać na miejscu pochodzenia nazwy owego wąwozu.

Mniej więcej w pół drogi między wlotem a wylotem Wąwozu Macargera zbocze po prawej stronie, idąc w górę wąwozu, przecięte jest innym parowem, krótkim i suchym, a w miejscu ich połączenia rozciąga się płaski teren o powierzchni dwóch czy trzech akrów; tam przed kilkoma laty stała stara, sklecona z desek chata o jednej małej izbie. Jak części składowe owego domku, aczkolwiek nieliczne i proste, złożono w całość na tym nieomal niedostępnym odludziu, pozostaje zagadką, której rozwiązanie mogłoby dać więcej satysfakcji niż korzyści. Prawdopodobnie łożysko potoku było ongiś drogą. Nie ulega wątpliwości, że swego czasu wąwóz został bardzo dokładnie spenetrowany przez poszukiwaczy złota, którzy musieli w jakiś sposób doń dotrzeć, i to z jucznymi zwierzętami dźwigającymi narzędzia i zapasy. Najwidoczniej jednak ich zyski nie były na tyle wysokie, by uzasadnić mogły konieczność większych nakładów celem połączenia Wąwozu Macargera z jakimś ośrodkiem cywilizacji cieszącym się wyróżnieniem, jakim było posiadanie tartaku. Dom wszakże stał tam jeszcze prawie nienaruszony. Brakowało mu drzwi i ramy okiennej, a komin z gliny i kamienia zawalił się, tworząc niekształtną kupę gruzu porośniętą wybujałym zielskiem. Skromne umeblowanie, jakie mogło tam ongiś się znajdować, i większa część zewnętrznego oszalowania ścian posłużyły myśliwym do rozpalania ognisk; podobny los spotkał prawdopodobnie obudowę starej studni, która w czasach przeze mnie opisywanych istniała już tylko w postaci dość szerokiego, lecz niezbyt głębokiego dołu nie opodal chaty.

Pewnego popołudnia latem 1874 roku wszedłem do Wąwozu Macargera z wąskiej doliny, która doń prowadzi, posuwając się wzdłuż wyschłego koryta potoku. Polowałem na kuropatwy i miałem już w torbie około tuzina ptaków, kiedy to dotarłem do wyżej opisanej chaty, o której istnieniu dotychczas nie wiedziałem. Po dość pobieżnych oględzinach zniszczonego domostwa powróciłem do swego zajęcia i wobec dobrych wyników polowania przeciągnąłem je aż do zachodu słońca; wówczas uświadomiłem sobie, że jestem daleko od jakiegokolwiek ludzkiej osady — zbyt daleko, by dotrzeć doń przed zapadnięciem nocy. W torbie myśliwskiej miałem jednak żywność, a stary dom dawał schronienie, o ile w ogóle schronienie było potrzebne w równie ciepłą i bezdżdżystą noc na podgórzu Sierra Nevada, gdzie można wygodnie spać na posłaniu z sosnowego igliwia bez żadnego przykrycia. Lubię samotność i kocham noc, tak więc niewiele myśląc postanowiłem rozłożyć się biwakiem i o zmierzchu miałem już umoszczone w rogu izby posłanie z gałązek i trawy, a na ogniu roznieconym na palenisku piekła się kuropatwa. Dym ulatywał przez zawalony komin, ogień oświetlał pokój cie-

\* rumianku.

płym blaskiem i w trakcie spożywania skromnego posiłku z pospolitego ptaka, popijanego resztkami czerwonego wina zastępującego mi przez całe popołudnie wodę, której brakowało w tamtejszej okolicy, doznałem uczucia błogości, jakiego nawet lepsza strawa i wygodniejsze pomieszczenie nie zawsze są w stanie zapewnić.

Niemniej jednak czegoś mi było brak. Miałem poczucie wygody, lecz nie bezpieczeństwa. Przyłapałem się na częstszym spoglądaniu w ziejący pustką otwór drzwiowy i okienny, niżby sytuacja tego wymagała. Na zewnątrz rozpościerała się czerń i nie mogłem wyzbyć się pewnego uczucia lęku, moja wyobraźnia bowiem odmalowywała zewnętrzny świat wypełniając go nieprzyjawnymi stworami naturalnymi i nadprzyrodzonymi — a głównymi spośród nich, każdy w swej kategorii, były szary niedźwiedź, którego, jak wiedziałem, sporadycznie widywano w okolicy, oraz duch, co do którego miałem podstawy przypuszczać, że się tu nie pojawiał. Niestety, nasze uczucia nie zawsze uznają zasadę prawdopodobieństwa, a dla mnie owej nocy możliwe i niemożliwe było jednako niepokojące.

Każdy, kto ma doświadczenie w tej sprawie, zauważył zapewne, że z mniejszym lękiem stawia się czoło prawdziwym i wyobrażonym nocnym strachom na otwartej przestrzeni niż w domu o rozwartych drzwiach. Doświadczałem tego teraz, leżąc na mym posłaniu z liści przy kominie w rogu izby i pozwalając, by ogień zagasał. Tak silnie jałem odczuwać obecność w tym miejscu czegoś złego i zagrażającego mi, że byłem prawie niezdolny do oderwania wzroku od otworu, w miarę jak stawał się coraz mniej widoczny w gęstniejącym mroku. A kiedy ostatni płomyczek zamigotał i zgasł, chwyciłem strzelbę, którą poprzednio położyłem u swego boku, i skierowałem lufę ku niewidocznemu teraz wejściu, z kciukiem na jednym z kurków, gotowym, by go odwieść. Wstrzymałem oddech. Mięśnie miałem sztywne z napięcia, lecz w chwilę później odłożyłem broń z uczuciem wstydu i upokorzenia. Czego się lękałem i czemu? — Ja, dla którego noc miała

bardziej swojskie niż  
człowiek oblicze...

Ja, dla którego ów pierwiastek dziedzicznych przesądów, od jakich nikt z nas nie jest całkowicie wolny, dodawał samotności, ciemności i ciszy jedynie więcej powabu i uroku! Nie byłem w stanie pojąć mego szaleństwa i gubiąc się w domysłach zasnąłem. A wówczas miałem widzenie senne.

Byłem w wielkim mieście w obcym kraju — mieście, którego mieszkańcy należeli do tej samej co ja narodowości, choć różnili się nieco mową i ubiorem; lecz o jakie to chodziło różnice, nie umiałbym dokładnie powiedzieć; pojmowałem je bardzo niejasno. Nad miastem górował wielki zamek na wysokim wzgórzu, którego nazwę znałem, lecz nie potrafiłem wymówić. Przemierzyłem wiele ulic, niektóre szerokie i proste, obrzeżone wysokimi, nowoczesnymi budynkami, inne wąskie, mroczne i kręte, wijące się pod szczytami dachów dziwnych starych domów, których nadwieszono izbice, kunsztownie ozdobione rzeźbami w drzewie i kamieniu, niemal stykały się nad moją głową.

Szukałem kogoś, kogo nigdy nie widziałem, choć byłem pewny, że rozpoznam go, gdy go odnajdę. Nie działałem bezcelowo i chaotycznie, lecz podług pewnego określonego systemu; skręcałem z jednej ulicy w drugą bez wahania, przeciskałem się przez labirynt zawiłych przejść bez obawy zgubienia drogi.

W pewnej chwili stanąłem przed niskimi drzwiami domu z ciosanego kamienia, który to dom mógłby być mieszkaniem rzemieślnika wyższej klasy, i wszedłem bez zapowiedzi. W pokoju, dość skąpo umeblowanym i rozjaśnionym światłem padającym z jedyne go okna o małych szybkach w kształcie rombu, znajdowało się dwoje tylko ludzi: mężczyzna i kobieta. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na moje wtargnięcie, która to okoliczność, jak to bywa w snach, wydawała się całkiem naturalna. Nie rozmawiali; siedzieli osobno, niczym nie zajęci i markotni.

Kobieta była młoda i dość tęga, o pięknych dużych oczach i niepokojącej urodzie.

Zachowałem żywe wspomnienie wyrazu jej twarzy, lecz w snach nie dostrzega się szczegółów ludzkiej fizjonomii. Ramiona miała okryte grubym szalem w szkocką kratę. Mężczyzna był starszy od niej, brunet o złym obliczu, które długa blizna biegnąca ukośnie w dół od lewej skroni aż do czarnych wąsów czyniła bardziej jeszcze złowrogim, choć w moim śnie szrama ta istniała raczej jako oddzielne zjawisko — nie potrafię tego inaczej wyrazić — miast należeć do jego twarzy. Od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem mężczyznę i kobietę, wiedziałem, że są małżeństwem.

Co nastąpiło później, pamiętam niejasno. Wszystko się przemieszało i stało niewyraźne — spowodowały to zapewne przebłyski świadomości. Jak gdyby dwa obrazy — sceny ze snu i z mojego rzeczywistego otoczenia — stopiły się ze sobą, nałożyły na siebie, aż ten pierwszy, blednąc stopniowo, wreszcie znikł; wówczas całkiem się rozbudziłem i znalazłem ponownie w opustoszałej izbie, spokojny i jasno świadom mej sytuacji.

Mój niemądry strach pierzchł i otworzywszy oczy zobaczyłem, że ogień, który nie wygasł zupełnie, znowu buchnął płomieniem i rozświetlał pokój, jedno z polan bowiem spadło w żar. Prawdopodobnie spałem zaledwie kilka minut, lecz ów banalny sen wywarł na mnie tak silne wrażenie, że odeszła mnie wszelka senność. Po chwili wstałem, zsunąłem razem żarzące się głownie i zapaliwszy fajkę pograżyłem się w rozpamiętywaniu snu w sposób niedorzecznie metodyczny

Sam byłbym zaskoczony, gdyby mi przyszło powiedzieć, dla jakiej przyczyny ów sen zasługiwał na uwagę. Po chwili poważnego zastanowienia się nad tą sprawą stwierdziłem, że miastem z mego snu jest Edynburg, gdzie nigdy dotąd nie byłem. Jeśli więc sen był wspomnieniem, było to wspomnienie obrazów i opisów. Owo rozpoznanie wstrząsnęło mną głęboko, jak gdyby coś w mym umyśle buntowniczo nalegało, wbrew woli i rozumowi, by uznać wagę tego wszystkiego. I owa siła, czymkolwiek była, opanowała także moją mowę.

— Z pewnością — rzekłem na głos całkiem mimowolnie — McGregorowie musieli przybyć tu z Edynburga.

W pierwszej chwili ani treść tej uwagi, ani fakt wypowiedzenia jej w najmniejszym stopniu nie zdziwiły mnie. Wydawało się to całkiem naturalne, że powinienem znać nazwisko postaci z mego snu i kilka szczegółów z ich życia. Wnet jednak niedorzeczność całej tej historii dotarła do mej świadomości. Roześmiałem się głośno, strząsnąłem popiół z fajki i znów wyciągnąłem się na posłaniu z gałęzi i trawy, gdzie leżałem patrząc z roztargnieniem na dogasający ogień i nie powracając już myślami ani do mego snu, ani otoczenia. Nagle jeden jedyny pozostały jęczyczek ognia przycupnął na chwilę, a potem wystrzelając w górę, wyswobodził się z popiołów i zagasł w powietrzu. Zapadła całkowita ciemność.

W tej samej chwili — nim jeszcze blask płomyka zdążył całkiem zagasnąć przed moimi oczyma — wydało mi się, że słyszę tępy, głuchy łoskot, jak gdyby jakieś ciężkie cielsko runęło na podłogę, która zatrzęsła się pod moim posłaniem. Gwałtownie usiadłem i jałem szukać po omacku strzelby wokół siebie. Byłem przekonany, że jakaś dzika bestia wskoczyła do środka przez otwarte okno. Gdy wątpa budowla wciąż jeszcze drżała od siły uderzenia, usłyszałem odgłos ciosów, szuranie stóp po podłodze, a później przenikliwy krzyk kobiety w agonii, dochodzący, zdawałoby się, z miejsca nieomal w zasięgu mego ramienia. Tak przeraźliwego krzyku nigdy dotąd nie słyszałem ani nie mogłem sobie wyobrazić. Poraził mnie całkowicie. Przez chwilę nie uświadamiałem sobie niczego prócz własnego przerażenia! Na szczęście natrafiłem wreszcie ręką na broń, której szukałem, i znajomy kształt nieco mnie uspokoił. Zerwałem się na równe nogi, wyteżając wzrok, by przeniknąć ciemność. Gwałtowne hałasy ustały, lecz usłyszałem bardziej jeszcze przerażające, słabe, przerywane rżenie jakiegoś żywego, konającego stworzenia!

W miarę jak moje oczy oswajały się z mdłym światłem tłącego się popiołu, począłem rozpoznawać zarysy drzwi i okna, odbijające głębszą czernią od czerni ścian. Następnie odróżniłem ścianę od podłogi, której kształt dojrzałem wreszcie w całej rozciągłości, wzdłuż i

wszerz. Niczego tam nie było i panowała niezmacona cisza.

Jedną ręką, nieco drżąc, podsycałem ogień i wciąż trzymając w drugiej broń, bacznie rozejrzałem się po całej izbie. Nigdzie nie było najmniejszego śladu, który by wskazywał, że ktoś wtargnął do chaty. Me własne ślady rysowały się w kurzu pokrywającym podłogę, lecz nie było widać żadnych innych. Zapaliłem fajkę, dorzuciłem do ognia jedną czy dwie deski, które oderwałem od ściany — nie miałem ochoty wychodzić z domu w ciemność — i spędziłem resztę nocy paląc, rozmyślając i podsycając ogień. Za żadne skarby świata nie dopuściłbym do ponownego wygaśnięcia tych kilku małych płomyków.

W kilka lat później spotkałem się w Sacramento z pewnym człowiekiem nazwiskiem Morgan, do którego miałem list polecający od mego przyjaciela z San Francisco. Pewnego wieczoru, spożywając z nim wieczerzę w jego domu, spostrzegłem na ścianie rozmaite „trofea” zdradzające jego zamiłowanie do myślistwa. Okazało się, że tak jest w istocie; opowiadając o jednym ze swych wyczynów wspomniał o pobycie w okolicach, gdzie rozegrała się moja przygoda.

— Panie Morgan — zagadnąłem znienacka — czy zna pan tam pewne miejsce zwane Wąwozem Macargera?

— Mam powody, by je znać — odparł — to ja właśnie przekazałem do gazet przeszłego roku wiadomość o znalezieniu tam ludzkiego szkieletu.

Nie słyszałem o tym. Okazało się, że wiadomość ta ukazała się w prasie wówczas, kiedy nie było mnie na Wschodzie.

— A propos — rzekł Morgan — nazwa wąwozu została przekreślona. Powinna ona brzmieć „Wąwóz McGregora”. Moja droga — zwrócił się do żony — panu Eldersonowi rozlało się wino.

Prawda wyglądała nieco inaczej — kieliszek z winem po prostu wypadł mi z ręki.

— Niegdyś stała w wąwozie stara chata — podjął Morgan, kiedy ślady katastrofy spowodowanej moją niezręcznością zostały usunięte — lecz tuż przed moim tam przybyciem rozpadła się, lub raczej została zburzona, jej *débris* bowiem porozrzucone były wokół, podłoga cała zerwana deska po desce. Pomiedzy dwoma belkami tkwiącymi jeszcze we właściwym miejscu ja i mój towarzysz dojrzelśmy resztki szkockiego szala, a przypatrzwszy się bliżej, odkryliśmy, że był on owinięty wokół ramion kobiety, z której pozostało niewiele prócz kości częściowo pokrytych strzępami odzienia i szerniałą, wyschłą skórą. Miejsmy jednak wzgląd na panią Morgan — dodał z uśmiechem.

Dama owa w istocie zdradzała oznaki odrazy raczej niż współczucia.

— Należy jednakże zaznaczyć — podjął — że czaszka pęknięta była w kilku miejscach, jak gdyby od ciosów zadanych jakimś tępym narzędziem; zresztą to narzędzie — motyka, jeszcze ze śladami krwi — leżało obok pod deskami.

Pan Morgan zwrócił się do żony:

— Wybacz mi, moja droga — powiedział z przesadną powagą — żem wspomniał te nieprzyjemne szczegóły zwykłych, choć pożałowania godnych incydentów małżeńskiej sprzeczki — wynikłej niewątpliwie z niefortunnego nieposłuszeństwa żony.

— Powinnam się na to zdobyć — odparła dama z godnością — tyle już razy prosiłeś mnie o to dokładnie tymi samymi słowy.

Odniosłem wrażenie, że jest raczej zadowolony mogąc snuć dalej swą opowieść.

— Na podstawie tej, jak i innych okoliczności — mówił — sędziowie przysięgli orzekli, że zmarła Janet McGregor poniosła śmierć w wyniku ciosów zadanych przez osobę nie znaną sądowni; zaznaczono jednakże, iż istnieją poważne poszlaki wskazujące na winę jej męża, Tomasza McGregora. Tomasza McGregora nigdy jednak nie odnaleziono i nikt o nim więcej nie słyszał. Dowiedziano się, że para ta przybyła z Edynburga, lecz nie... moja droga, czyż nie widzisz, że talerzyk pana Eldersona na kości pełen jest wody?

Włożyłem kości z kurczaka w miseczkę do płukania palców.

— W małym kredensiku znalazłem fotografię McGregora, lecz nie przyczyniła się ona do jego ujęcia.

— Czy mógłbym ją zobaczyć? — spytałem.

Zdjęcie przedstawiało bruneta o złej twarzy, której odrażający wyraz potęgowała jeszcze długa blizna biegnąca od skroni ukośnie w dół ku czarnym wąsom.

— Przy sposobności, panie Elderson — rzekł mój gościnny gospodarz — czy mogę wiedzieć, czemu pyta pan o Wąwóz Macargera?

— Kiedyś niedaleko stamtąd zginął mi muł — odparłem — i ta pechowa okoliczność... całkiem... całkiem wytrąciła mnie z równowagi.

— Moja droga — powiedział pan Morgan z bezwiedną intonacją tłumacza dokonującego przekładu — utrata muła spowodowała, że pan Elderson nasypał sobie pieprzu do kawy.

## Pewnej letniej nocy...

Fakt, że Henry Armstrong został pochowany, nie wydawał się jemu samemu dostatecznym dowodem na to, iż nie żyje. Zawsze trudno go było przekonać. O tym, że istotnie został pogrzebany, świadczyły jego zmysły, które zmuszały go do uznania tej okoliczności. Ułożenie ciała — płasko na wznak, z rękoma skrzyżowanymi na brzuchu i związanymi czymś, co z łatwością rozerwał, choć to bynajmniej nie zmieniło sytuacji na korzystniejszą — uwięzienie całej jego osoby i całkowite ograniczenie swobody ruchów, czarna ciemność i głęboka cisza stanowiły materiał dowodowy niemożliwy do obalenia, pogodził się więc z tym bez oporu.

Lecz martwy... nie; był jedynie bardzo, bardzo chory. Cierpiał równocześnie na chorobliwą apatię i niezbyt przejmowała go niezwykłość losu, jaki stał się jego udziałem. Nie był wcale filozofem — po prostu zwykłym, pospolitym człowiekiem obdarzonym na jakiś czas patologicznym zubożeniem. Organ, którym odczuwa się strach przed tym, co ma nastąpić, był odrętwiały. Przeto bez szczególnych obaw co do swej bliskiej przyszłości Henry Armstrong usnął i stał się uosobieniem spokoju.

Tymczasem na powierzchni coś się działo. Ową letnią ciemną noc przecinały jasne błyskawice cicho oświetlające chmurę wiszącą nisko na zachodzie i zwiastującą burzę. Owe krótkie, urywane błyski ukazywały z upiorną wyrazistością nagrobki i pomniki cmentarne, jak gdyby zachęcając je do tańca. Nie była to noc, podczas której jakkolwiek wiarogodny świadek mógłby błąkać się po cmentarzu, przeto trzej ludzie, którzy rozkopywali grób Henry'ego Armstronga, czuli się względnie bezpiecznie.

Dwóch z nich było studentami uczelni medycznej oddalonej o kilka mil od cmentarza; trzecim był olbrzymi Murzyn znany pod imieniem Jess. Od wielu już lat Jess był zatrudniony na cmentarzu jako człowiek do wszystkiego, a jego ulubionym żartem było powiedzonko, że nie ma tu „żywej duszy”, której by nie znał. Sądząc po tym, co teraz robił, można by wywnioskować, że miejsce to nie było tak gęsto zaludnione, jak wskazywały na to księgi cmentarne.

Na zewnątrz muru, na terenie oddalonym nieco od drogi czekał koń i lekki powozik.

Kopanie nie szło ciężko: nie ubita ziemia, którą wypełniono grób przed kilkoma godzinami, stawiała niewielki opór i niebawem ją usunięto. Wyciągnięcie trumny z mogiły okazało się mniej łatwe, lecz wyjęto ją, stanowiła ona bowiem uboczny zarobek Jessa, który ostrożnie odśrubowawszy wieko, odłożył je na bok, odsłaniając ciało w czarnych spodniach i białej koszuli. W tej samej chwili powietrze stanęło nagle w płomieniach, rozdzierający huk pioruna

wstrząsnął ogłuszonym światem i Henry Armstrong spokojnie usiadł. Z nieartykułowanym wrzaskiem młodzieńcy rzucili się do ucieczki w śmiertelnej trwodze, każdy w innym kierunku. Za nic na świecie nie daliby się namówić do powrotu. Lecz Jess był z innej gliny.

O szarym poranku dwaj studenci, bladzi i wymizerowani, w których na myśl o przeżytej grozie wciąż jeszcze burzyła się krew, spotkali się przed uczelnią medyczną.

— Widziałeś to? — wykrzyknął jeden z nich.

— O Boże! Tak... co mamy teraz zrobić?

Przeszli na tyły budynku, gdzie ujrzeli konia zaprzęgniętego do lekkiego powozu i uwiązanego do słupka bramy przy wejściu do prosektorium. Machinalnie weszli do sali. Na ławce w półmroku siedział Murzyn Jess. Podniósł się, szczerząc zęby w uśmiechu i mrużąc oczy.

— Czekam na zapłatę — rzekł.

Na długim stole leżały wyciągnięte nagie zwłoki Henry'ego Armstronga z głową poplamioną krwią i gliną od uderzenia łopata.

## Nawiedzona dolina

### I. JAK ŚCINA SIĘ DRZEWA W CHINACH

Pół mili na północ od posiadłości Jo. Dunfera, na drodze od Hutton do Mexican Hill gościniec wpada do cienistego wąwozu, który po obu stronach rozszerza się na pół obiecująco, jak gdyby miał jakąś tajemnicę do ujawnienia w stosowniejszej porze. Nigdy nie zdarzyło mi się, bym przejeżdżając tamtędy nie rozejrzał się najpierw w jedną, potem w drugą stronę, żeby sprawdzić, czy nastąpiła już owa chwila objawienia. Kiedy niczego nie mogłem dostrzec — a nigdy niczego nie ujrzałem — nie czułem się rozczarowany, gdyż wiedziałem, że wyjawienie tajemnicy zostało jedynie chwilowo wstrzymane z jakiejś ważkiej przyczyny, której nie miałem prawa dociekać. W to, że pewnego dnia zostaną dopuszczony do tajemnicy, nie wątpiłem wcale, tak jak nie wątpiłem w istnienie samego Jo. Dunfera, przez którego posiadłość przebiegał wąwóz.

Powiadano, że Jo. zamierzał niegdyś wznieść chatę w odległej części wąwozu, lecz z jakiegoś powodu poniechał swego przedsięwzięcia i wybudował obecne dwupłciowe domostwo, na pół dom mieszkalny, na pół bimbrownię, przy drodze na krańcach swych włości, w możliwie najdalszej stronie, jak gdyby celowo chciał pokazać, jak radykalnie zmienił zdanie.

Tenże Jo. Dunfer — lub, jak go poufale nazywano w okolicy, Whisky Jo. — był bardzo ważną osobistością w owych stronach. Był to mężczyzna na oko dobiegający czterdziestki, wysoki, owłosiony, z czupryniastą głową, o pooranej bruzdami twarzy, sękatych rękach i dłoniach guzowatych niczym pęk kluczy więziennych. Chodził pochylony jak ktoś, kto szykuje się do skoku na zdobycz, by ją rozszarpać.

Prócz owego osobliwego zajęcia, któremu zawdzięczał miejscowy przydomek, inną najbardziej charakterystyczną cechą pana Dunfera była głęboko zakorzeniona niechęć do Chińczyków. Widziałem go raz, jak pienił się z wściekłości, gdyż jeden z jego pastuchów pozwolił strudzonemu podróżą Azjacie ugasić pragnienie u koryta końskiego przed barem należącym do Jo. Usiłowałem nieśmiało zganić Jo. za niechrześcijańską postawę, lecz on ograniczył się do wyjaśnienia, że w Nowym Testamencie nie ma najmniejszej wzmianki o Chińczykach, i odszedł, by wyładować swe niezadowolenie na psie, którego również, jak sądzę, natchnieni skrybowie przeoczyli.

W kilka dni później, zastawszy go siedzącego samotnie w barze, ostrożnie poruszyłem ten temat, a wówczas ku mej wielkiej uldze zazwyczaj surowy wyraz jego twarzy najwidoczniej złagodniał, co wziąłem za objaw łaskawości.

— Wy, młodziki ze Wschodu — rzekł — jesteście o całe niebo za dobrzy na ten kraj i nie możecie się połapać, w czym rzecz. Faceci, którzy nie odróżniają Chilijczyka od Kanaka, mogą sobie pozwolić na obnoszenie się z liberalnymi poglądami o chińskim osadnictwie, lecz człowiek, który musi walczyć o każdą kość z całą zgrają kundli — kulisów, nie ma czasu na podobne głupstwa.

Ten wielki wyjadacz, który prawdopodobnie nigdy nie przepracował uczciwie ani jednego dnia w swym życiu, podważył wieczko chińskiej tabakierki i za pomocą kciuka i palca wskazującego, niczym szczypcami, wyciągnął grudkę tytoniu wyglądającą jak mały snopek siana. Trzymając ją niczym dodatkowy argument w wyciągniętej ręce wypalił ponownie w nowym przyływie chęci do zwierzeń.

— Są oni rojem żarłocznej szarańczy rzucającej się na wszystko, co zielone w całym tym bożym kraju, jeśli chcesz wiedzieć.

Mówiąc te słowa wepchnął ową porcję tytoniu w szczerbę między zębami, a kiedy miał już wolne usta, podjął na nowo podniosłą przemowę.

— Miałem jednego z nich tu, na moim rancho, pięć lat temu i opowiem ci o tym, byś pojął, w czym rzecz. Nie wiodło mi się zbyt dobrze w owych czasach — piłem więcej whisky, niż mi pozwalano, i nie wywiązywałem się z mych obowiązków jako patriota i obywatel amerykański; wziąłem więc poganina do siebie, żeby mi pichcił. Ale kiedy klechy wprowadziły się na wzgórze i zaczęły gadać o postawieniu mnie przed sądem, dane mi było przejrzeć. Lecz co miałem począć? Gdybym go puścił wolno, ktoś inny by go zabrał i mógłby nim pomiatać. Co miałem zrobić? Co by zrobił każdy dobry chrześcijanin, a w szczególności nowicjusz tkwiący po uszy w naukach o braterstwie między ludźmi i ojcostwie bożym?

Jo. przerwał czekając na odpowiedź z wyrazem niepewnej satysfakcji, niczym ktoś, kto rozwiązał problem wątpliwymi metodami. Nagle wstał i opróżnił szklaneczkę whisky nalaną z pełnej butelki stojącej na ladzie, po czym podjął swą opowieść.

— Poza tym niewiele było z niego pożytku — nic nie umiał i stroił fochy. Oni wszyscy tak robią. Mówiłem, żeby tego nie robił, ale on upierał się jak muł, nawet wtedy, gdy już dyndał na sznurze, zanim wykitował; lecz kiedy okręcił się po raz siedemdziesiąty siódmy, skrzyłem mu kark, żeby nie ciągnęło się to w nieskończoność. I jestem cholernie zadowolony, że miałem odwagę to zrobić.

Zadowolenie Jo., które jakoś nie wywarło na mnie wrażenia, zostało bezzwłocznie i ostentacyjnie uczczone łykiem z butelki.

— Przed pięcioma mniej więcej laty zacząłem wznosić tu budę. Działo się to, nim wybudowałem tę obecną, a stawiałem ją w innym miejscu. Zapędziłem Ah Płaczka i tego małego gnojka Susła do przycinania desek. Oczywiście nie oczekiwałem od Ah Płaczka wielkiej pomocy, miał bowiem gębę rozradowaną niczym czerwcowe słońce i wielkie czarne ślipia — wydaje mi się, że były to najcholerniejsze oczy w tym zakątku świata.

Podczas wygłaszania tej ciętej przemowy przeczącej zdrowemu rozsądkowi pan Dunfer bezmyślnie spoglądał na krągły otwór w cienkiej ścianie oddzielającej bar od części mieszkalnej, jak gdyby był on jednym z pary oczu, których rozmiar i kolor uniemożliwiały jego słudze dobre wywiązanie się z obowiązków.

— Wiadomo, że wy, safandudy ze Wschodu, nie macie nic przeciwko tym żółtym diablom — wypalił znienacka z udaną powagą, nie całkiem przekonująco — lecz powiem, że Żółtek był najprzewrotniejszym łotrem poza granicami San Francisco. Ten nędzny mongolski warkoczyk zabrał się do ociosywania pni młodych drzewek niczym robak nadgryzający rzodkiewkę. Tłumaczyłem mu tak cierpliwie, jak tylko potrafiłem, że źle to robi, i pokazywałem mu, jak należy nadcinać drzewka po obu stronach, tak aby padały prosto; lecz skoro tylko



odwróciłem się do niego plecami, o, w ten sposób... — i tu odwrócił się ode mnie podkreślając ten pokaz łykiem whisky — znowu robił po swojemu. Tak to się odbywało: kiedy patrzyłem nań tak oto... — spoglądał na mnie dość niepewnie, wyraźnie zamglonym wzrokiem — wszystko było w porządku, lecz kiedy patrzyłem w inną stronę, o tak... — pociągnął spory łyk z butelki... — robił mi na przekór. Wówczas patrzyłem na niego z wyrzutem, o tak, a wtedy przybierał minę niewiniątka.

Bez wątplenia pan Dunfer szczerze zamierzał posłać mi spojrzenie jedynie pełne wyrzutu, lecz w niepojęty sposób mogło ono wywołać największe przerażenie w każdej bezbronnej osobie, która je na siebie ściągnęła, a ponieważ straciłem wszelkie zainteresowanie dla tej bezcelowej i nie kończącej się gadaniny, wstałem, by wyjść. Zanim jednak zdążyłem całkiem się podnieść, ponownie odwrócił się do kontuaru i z ledwie słyszalnym „tak” wypróżnił butelkę jednym haustem.

O nieba! Co za ryk! Niczym Tytana w agonii. Wydawszy ów ryk, Jo. zatoczył się w tył, tak jak działo odskakuje po wystrzale, i osunął się na krzesło niczym wół „zdzielony w łeb” — gałki oczne wybałuszone w stronę ściany, spojrzenie pełne przerażenia. Spoglądając w tym samym kierunku ujrzałem, że otwór w ścianie stał się istotnie okiem ludzkim — okrągłym, czarnym okiem, wpatrującym się we mnie z całkowitym brakiem wszelkiego wyrazu, straszliwszym niż najbardziej diabelski błysk. Wydaje mi się, że zakryłem twarz dłońmi, by przesłonić przerażające złudzenie, o ile było to w ogóle złudzenie, aż wreszcie nadejście małego białego „człowieka-do-wszystkiego” należącego do Jo. przerwało czar. Wyszedłem z tego domu z osobliwym, niejasnym uczuciem strachu, że owo delirium tremens jest być może zaraźliwe. Koń mój stał uwiązany przy korycie z wodą; odwiązawszy go wskoczyłem na siodło i puściłem wolno wodze, zbyt wstrząśnięty, by zważać na to, dokąd mnie poniesie.

Nie miałem pojęcia, co o tym wszystkim myśleć, i jak każdy, kto nie wie, co ma myśleć, myślałem usilnie i z niewielkim skutkiem. Jedynym pocieszeniem była dla mnie myśl, że nazajutrz powinienem znajdować się o całe mile od tego miejsca i według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy tu już nie powrócić.

Nagły chłód wyrwał mnie z zamyślenia i podniósłszy wzrok spostrzegłem, że wjeżdżam w głęboki cień wąwozu. Dzień był duszny i to przejście od bezlitosnego, namacalnego nieomal skwaru spieczonych pól do chłodnego mroku nabrzmiałego świergotem ptaków, które przyleciały tu w poszukiwaniu schronienia wśród liści, było rozkosznie orzeźwiający. Oczekiwałem, jak zwykle, objawienia tajemnicy, lecz stwierdziwszy, że wąwóz i tym razem nie jest skłonny do odsłonięcia przede mną swych tajników, zsiadłem z konia, zaprowadziłem zgrzane zwierzę w zarośla, przywiązałem je dobrze do drzewa i usiadłem na skale, by oddać się rozmyślaniom.

Zacząłem odważnie od analizy mojego ulubionego przesądu związanego z tym zakażeniem. Rozłożywszy go na elementy składowe, uformowałem je w dogodne oddziały i szwadrony i zebrawszy wszystkie siły mej logiki, przystąpiłem do ataku z niewzruszonych pozycji z grzmotem nieodpartych wniosków i wielkim łoskotem pędzących rydwanów oraz ogólnym intelektualnym wrzaskiem. A kiedy me potężne duchowe działa rozgromiły wszelką opozycję i nieomal niedosłyszalnie pomrukiwały na horyzontach czystej spekulacji myślowej, odparty wróg walczył dalej na tyłach, zebrał ukradkiem swe siły w krzepką falangę i wziął mnie do niewoli z całym moim rynsztunkiem. Ogarnął mnie nieokreślony strach. Wstałem, by się zeń otrząsnąć, i zapuściłem się w wąską kotlinkę starym, porośłym trawą traktem bydłowym, który zdawał się płynąć po dnie w zastępstwie potoku, jaki matka natura zapomniała tu stworzyć.

Drzewa, wśród których biegła ścieżka, były zwykłymi, dobrze rozwijającymi się roślinami, o nieco zniekształconych pniach i ekscentrycznym kształcie gałęzi, nie było jednak niczego nadprzyrodzonego w ich ogólnym wyglądzie. Kilka luźno leżących głazów, które odewały się od zboczy kotlinki, by wieść niezależny żywot na dnie, zagradzało ścieżkę tu i ówdzie, lecz ich kamienny spokój nie miał w sobie nic z martwoty śmierci. Echo w kotlinie

odzywało się głuchym grobowym głosem, to prawda, i tajemniczy szept rozlegał się gdzieś w górze: to wiatr ledwie muskał korony drzew — ot i wszystko.

Nie przyszło mi na myśl, by doszukiwać się związku między pijackim bełkotem Jo. Dunfera a tym, czego teraz szukałem, i dopiero kiedy wszedłem na małą polankę i potknąłem się o ścięte pnie jakichś drzewek, doznałem objawienia. Na tym to właśnie miejscu stał opuszczony „szałas”. Odkrycie zostało potwierdzone faktem, że niektóre z butwiejących pniaków były ociosane wokół w wielce niefachowy sposób, gdy tymczasem inne były poćcinane prosto, a ich czubki miały kształt stępionych klinów, nadany mistrzowskimi uderzeniami siekiery.

Polanka wśród drzew nie liczyła więcej niż czterdzieści kroków wszerz. Z jednej jej strony wznosił się mały kopiec — naturalny wzniesienie, niczym nie porośnięty z wyjątkiem wybujałej trawy, a na nim wystając spośród zielska tkwił kamień nagrobny!

Nie przypominam sobie, bym doznał uczucia zdziwienia z przyczyny owego odkrycia. Spoglądałem na ten samotny grób z takim samym uczuciem, jakiego musiał doznać Kolumb, gdy ujrzał góry i brzegi nowego świata. Nim się doń zbliżyłem, powoli dokończyłem przeglądanie otoczenia. Posadzić by mnie nawet można było o rozmyślnie długie nakręcanie zegarka o tej niezwyklej porze z niepotrzebną dokładnością i uwagą, po czym podszedłem do owej objawionej mi wreszcie tajemnicy.

Grób — niezbyt długi — był w nieco lepszym stanie, niż należałoby się spodziewać, wzięwszy pod uwagę jego wiek i odosobnienie; źrenice zapewne rozszerzyły mi się nieco, napotkawszy kępkę niezaprzeczenie ogrodowych kwiatów noszących ślady niedawnego podlewania. Kamień najwyraźniej wysłużył się przedtem jako próg domu. Na jego powierzchni widniał wyrzeźbiony, a raczej wyryty napis o następującym brzmieniu:

#### AH PŁACZEK — CHIŃCZYK

Wiek nie znany. Pracował dla Jo. Dunfera.  
Pomnik ten został przez niego wzniesiony,  
by pamięć o Żółtku nie zżółkła. Także jako  
ostrzeżenie dla Skośnookich, by nie stroili  
fochów. Niech ich licho porwie!  
Była Dobrą Kwoczką.

Nie potrafię odpowiednio wyrazić mego zdziwienia na widok owego niezwyklego napisu! Skąpy, lecz wystarczający opis zmarłego; zuchwała szczerość wyznania; brutalne przekleństwo; nedorzeczna zmiana płci i uczucia — wszystko wskazywało na to, iż było to dzieło kogoś, kto musiał być tyleż pomyłony, co pogrążony w smutku. Czuję, że wszelkie dalsze odkrycia byłyby już zbędne, i z nieświadomym odczuciem dramatycznego efektu odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Przez cztery lata nie powracałem w te okolice.

## II KTO POWOZI ZDROWYMI NA UMYŚLE WOŁAMI, WINIEN SAM BYĆ PRZY ZDROWYCH ZMYSŁACH

„Ruszać się tam, stary Grubaśny-Wielgaśny!”

To niezwykle zawołanie wyszło z ust osobliwego człowieczka usadowionego wysoko na wozie na stercie bierwion i powożącego zaprzęgiem wołów, które ciągnąc wóz z łatwością, udawały ogromny wysiłek, na co jednak ich pan i władca najwyraźniej nie dawał się nabrać. Ponieważ ów jegomość właśnie w tej chwili gapił się wprost na mnie, gdy stałem tak na skraju drogi, nie było całkowicie jasne, czy zwracał się do mnie, czy do swych zwierząt; nie mogłem też stwierdzić, czy nazywały się one Grubaśny i Wielgaśny i oba stanowiły podmiot

orzeczenia w trybie rozkazującym „ruszać się”. Mimo to rozkaz ów nie wywarł na nas żadnego wrażenia, a osobliwy człowieczek odwrócił ode mnie swe spojrzenie na chwilę wystarczająco długą, by dźgnąć długim drągiem na przemian Grubaśnego i Wielgaśnego mrużąc po cichu, acz z przekonaniem: „Wygarbuję wam tę przeklętą skórę”, jak gdyby oba pokryte były jedną powłoką. Stwierdziwszy, że moja prośba o podwiezienie przeszła nie zauważona i że powoli pozostaję w tyle, stanąłem na wewnętrznej feldze tylnego koła i zostałem z wolna uniesiony aż do poziomu piasty, po czym wlałem na ten cały kram *sans cérémonie* i przeczołgawszy się do przodu usadowiłem obok woźnicy, który nie zwrócił na mnie uwagi, dopóki nie wymierzył kolejnej niewyszukanej kary swemu bydłecemu zaprzęgowi, czemu towarzyszyła rada „żwawiej, wy przeklęte Fajtłapy!” Następnie pan owego kramu (lub raczej były pan, nie mogłem bowiem oprzeć się niedorzecznemu wrażeniu, że cały ów majdan stanowił moją prawowitą nagrodę) utkwił we mnie spojrzenie swych wielkich czarnych oczu z wyrazem dziwnie i nieco nieprzyjemnie znajomym, odłożył drag — który ani nie zakwitł, ani też nie przemienił się w węża, czego na wpół oczekiwałem — skrzyżował ręce na piersiach i poważnie zapytał:

— Coś zrobił z Whisky?

W innych okolicznościach odpowiedziałbym, że ją wypilem, było jednak coś w tym pytaniu, co sugerowało ukryte znaczenie, oraz coś w tym człowieku, co nie pozwalało na płytki żart. Tak więc nie mając żadnej innej odpowiedzi na podorędziu, trzymałem język za zębami, lecz czułem się tak, jak gdyby zarzucono mi winę, a moje milczenie przyjęto jako przyznanie się.

Wtedy to właśnie chłodny cień padł mi na policzek i zmusił mnie, bym spojrział w górę. Wjeżdżaliśmy do mojego wąwozu! Nie potrafię opisać uczucia, jakie mną owładnęło: nie widziałem wąwozu od czasu, kiedy to obnażył się przede mną cztery lata temu, i teraz czułem się jak ktoś, komu przyjaciel zrobił zasmucające wyznanie o dawno popełnionej zbrodni i kto z tej przyczyny nie chce go opuścić. Dawne wspomnienia o Jo. Dunferze, jego połowicznych wyjaśnieniach i niewiele mówiącym napisie na kamieniu nagrobnym powróciły z nadzwyczajną wyrazistością. Zastanawiałem się, co też stało się z Jo., i... gwałtownie odwróciwszy się, zapytałem o to mego jeńca. Z namaszczeniem wpatrywał się w swoje woły i nie odwracając oczu odparł:

— Ruszać się, stary Żółwiu! Leży obok Ah Płaczka tam w górze wąwozu. Chcesz zobaczyć? Zawsze wracają do tego miejsca... oczekiwałem cię. Hoola!

Na to przydechowe zawołanie Grubaśny-Wielgaśny, niezguły żółwie zatrzymały się jak wryte i zanim ostatni dźwięk zamarł w górze wąwozu, ugięły wszystkie swoje osiem nóg i położyły się na zakurzonej drodze nie zważając na efekt, jaki to dawało na ich przeklętej skórze. Osobliwy człowieczek zeskoczył z kozła na ziemię i ruszył kotlinką nie racząc sprawdzić, czy idę ze nim. Szedłem jednak.

Była to mniej więcej ta sama pora roku i prawie ta sama pora dnia, co za mojej ostatniej tu bytności. Sójki jazgotały głośno, a drzewa szeptały smętnie, jak wówczas; i w tych dwóch dźwiękach odkryłem dziwaczną analogię do jawnych przechwałek zasłyszanych z ust pana Jo. Dunfera i tajemniczej powściągliwości w jego zachowaniu, oraz do brutalności, a jednocześnie czułości jego jedyne literackiego wyczynu — epitafium. Wszystko w dolinie zdawało się nie zmienione prócz ścieżki dla bydła, która nieomal całkowicie zarosła chwastami. Jednakże kiedy weszliśmy na polankę, zastaliśmy tam sporo zmian. Wśród kikutów i pni ściętych młodych drzew nie można już było odróżnić tych, które ociosano „na chińską modłę”, od tych, które ścięto „na sposób meksykański”. Jak gdyby barbarzyństwo Starego Świata i cywilizacja Nowego zatarły swe różnice dzięki arbitrażowej roli bezstronnego rozkładu — jak to bywa z cywilizacjami. Kopiec był tam jeszcze, lecz barbarzyńskie jeżyny napadły nań i o mało całkowicie nie wyparły jego bezsilnych traw, a patrycjuszowski fiołek ogrodowy skapitulował przed swym plebejskim bratem — być może powrócił jedynie do swego pierwotnego

gatunku. Inny grób — długi, solidnie usypany kopiec — wznosił się obok pierwszego, który w porównaniu z nim zdawał się jeszcze mniejszy; w cieniu nowego nagrobka stary leżał powalony, przy czym jego zdumiewająca inskrypcja była nieczytelna z przyczyny nagromadzonych liści i ziemi. Pod względem wartości literackich nowy napis ustępował staremu — budził nawet odrazę swą lapidarną i okrutną żartobliwością:

#### DUNFER JO. ZAŁATWILI GO.

Odwróciłem się odeń z obojętnością i zmiótłszy liście z tabliczki nagrobnej zmarłego poganina, wydobyłem znów na światło dzienne drwiące słowa, które, ozywając po długim okresie zapomnienia, zdały się tchnąć pewnym patosem. Mój przewodnik także jakby spoważniał czytając to i odniosłem wrażenie, że dostrzegam w jego cudacznym zachowaniu coś męznego, nieomal dostojnego. Lecz gdy spojrzałem nań, jego wielkie oczy, odrażające i wabiące zarazem, przybrały poprzedni, tak subtelnie nieludzki, a jednocześnie tak zwodniczo swojski wyraz. Postanowiłem położyć kres owej tajemnicy, jeśli to było możliwe.

— Mój przyjacielu — rzekłem wskazując mniejszą mogiłę — czy Jo. Dunfer zamordował tego Chińczyka?

Wsparty o drzewo, spoglądał poprzez otwartą przestrzeń na wierzchołek innego drzewa czy na błękitne niebo poza nim. Nie odwracając wzroku ani nie zmieniając pozycji z wolna odparł:

— Nie, proszę pana, on go słusznie uśmiercił.

— Więc naprawdę go zabił.

— Zabił go? A pewnie, że zabił. Czyż wszyscy o tym nie wiedzą? Czyż nie stanął przed sądem przysięgłych i nie wyznał tego? I czyż nie wydano orzeczenia: „Przywiedziony do śmierci przez zdrowe chrześcijańskie uczucie zrodzone w kaukaskiej piersi”? I czyż kościół w Hill nie wyklął Whisky'ego za to? I czyż wszechwładny lud nie obrał go Sędzią Pokoju, by odegrać się na ewangelikach? Nie wiem, gdzieś pan się chował.

— Ale czy Jo. uczynił to dlatego, że Chińczyk nie nauczył się bądź nie nauczyłby się ścinać drzew tak, jak to robi biały człowiek?

— Jasne! Tak stoi napisane w protokole, a to znaczy, że jest to zalegalizowaną prawdą. Moje widzimisię nie zmieni prawomocnej prawdy; to nie był mój pogrzeb i nie mnie przoszono o wygłoszenie mowy. Ale rzecz ma się tak, że Whisky był zazdrosny o m n i e — i, rzecz nie do wiary, ten nędzny łotrzyk napuszył się niczym indor i udawał, że poprawia nie istniejący krawat, sprawdzając wynik na wyciągniętej przed sobą dłoni, niczym w zwierciadle.

— Zazdrosny o c i e b i e! — powtórzyłem ze zdumieniem mającym niewiele wspólnego z dobrym wychowaniem.

— Tak właśnie powiedziałem. Czemuż by nie?... czy nie wyglądam dobrze?

Przybrał kpiącą postawę wystudiowanej gracji i wygładził zmarszczki na wyświechtanej kamizelce. Potem, zniżając nagle głos do cichych tonów niezwykle słodczy, mówił dalej:

— Whisky wiele uwagi poświęcał temu Żółtkowi; nikt lepiej ode mnie nie wiedział, jak on się nad nim trząsał. Nie mógł wytrzymać bez jego widoku, przeklęta zaródź! A kiedy pewnego dnia przyszedł na tę polanę i zastał nas wałkoniących się... jego śpiącego, a mnie usiłującego strzepnąć tarantulę z jego rękawa — Whisky chwycił moją siekiere i zdzielił nas dokładnie i mocno! Ja zrobiłem unik właśnie w owej chwili, bo ugryzł mnie ten pajak, lecz Ah Płaczek dostał niezłe w bok i zatoczył się jak nic. Whisky właśnie szykował się, żeby mi dołożyć, kiedy zoczył pajaka uczeplonego mego palucha; wtedy zrozumiał, że zrobił z siebie cholernego osła. Odrzucił siekiere i ukląkł u boku Ah Płaczka, który wierzgnął słabo po raz ostatni i otworzył oczy — oczy miał podobne do moich — i podniósłszy ręce do góry przyciągnął wstrętny łeb Whisky'ego do siebie i nie puszczał, póki mu życia starczyło. Nie trwało to długo, bo wstrząsnęło nim drżenie i wydałszy cichy jęk, wyzionął ducha.

W miarę snucia owej historii opowiadający przeobrażał się. Pozbył się komicznych lub raczej sardonicznych cech i gdy odmalowywał tę osobliwą scenę, z trudem udawało mi się zachować spokój. Ów wytrawny aktor w niepojęty sposób zdołał doprowadzić do tego, że moje współczucie, należne *dramatis personae*, przelałem na jego osobę. Zrobiłem krok do przodu, by uściskać mu dłoń, gdy niespodzianie szeroki grymas zaigrał na jego obliczu i z krótkim, szyderczym śmiechem podjął na nowo:

— Kiedy Whisky podniósł łeb, było na co popatrzeć! Cały jego wspaniały przyrodziewek — w owych dniach nosił się tak, że w oczy kłuło — był zniszczony na dobre! Włosy miał zmierzwione, a gęba — na ile mogłem dojrzeć — była bielsza niż najbielsza lilia. Spojrzał na mnie raz jeden i odwrócił wzrok, jak gdybym się w ogóle nie liczył; a potem naszły mnie przeszywające bóle, raz za razem, od ugryzionego palca aż do głowy, i... Suseł dał susa w ciemność. Oto dlaczego nie byłem na śledztwie.

— Ale czemuś później trzymał język za zębami? — spytałem.

— To taki już rodzaj języka — odparł i nie można było wydusić z niego ani słowa więcej na ten temat.

— Potem Whisky pił coraz więcej i więcej i stawał się coraz zajadlejszym wrogiem kulisów, ale nie sądzę, by kiedykolwiek był szczególnie zadowolony, że rozwalił Ah Płaczka. Nie odstawiał takiego bohatera, gdy byliśmy sami, jak wówczas, kiedy to miał słuchacza w takim cholernym Popisowym Cudaku jak pan. Wystawił ten nagrobek i wyrył napis odpowiadający jego zmiennym nastrojom. Potrzebował na to trzech tygodni, pracując w przerwach między opróżnieniem jednej butelki a drugiej. Ja wyryłem mu napis w jeden dzień.

— Kiedy Jo. umarł? — zapytałem z pewnym roztargnieniem.

Odpowiedź zaparła mi dech w piersiach.

— Wkrótce potem, jak przyglądałem mu się przez oko tej pętli, kiedy pan coś dosypywałeś mu do whisky, ty przeklęty Borgio!

Otrząsnąwszy się nieco ze zdumienia po usłyszeniu podobnie zaskakującego oskarżenia, byłem na pół zdecydowany złapać za gardło zuchwałego oszczercę, lecz powstrzymała mnie nagła myśl, która przyszła jak olśnienie. Utkwiłem w nim poważne spojrzenie i zapytałem najspokojniej, jak zdołałem:

— A kiedy dostałeś bzika?

— Przed dziewięcioma laty! — wrzasnął wyrzucając przed siebie zaciśnięte pięści — przed dziewięcioma laty, kiedy to nieokrzesane bydlę zabiło kobietę, która kochała go bardziej niż mnie! Mnie, co jechałem za nią z San Francisco, gdzie on ją wygrał w pokera! Mnie, co dbałem o nią przez lata całe, gdy tymczasem łajdak, do którego należała, wstydził się do niej przyznać i traktować jak Białą! Mnie, co dla jej dobra strzegłem jego perfidnej tajemnicy, póki go nie zżarła! Mnie, co, kiedy otrułeś tę bestię, spełniłem jego ostatnie życzenie, by pochować go obok niej i położyć mu kamień nad głową! I nigdy od tamtej pory nie widziałem jej grobu aż do dziś, albowiem nie chciałem go tu spotkać.

— Spotkać go? Ależ Susle, mój biedaku, on nie żyje!

— Właśnie dlatego boję się go.

Wróciłem z tym małym nieszczęśnikiem do wozu i uściskałem mu dłoń na pożegnanie. Zapadała już noc i gdy tak stałem na poboczu drogi w gęstniejącym mroku, odprowadzając wzrokiem niewyraźne kształty oddalającego się wozu, wieczorny wiatr przyniósł ku mnie dźwięk — dźwięk jak gdyby serii głuchych, gwałtownych razów. Z głębi nocy dobiegł głos:

— Ruszać się tam, ty przeklęta stara Pelargonio!

## Dzban syropu

Niniejsza opowieść rozpoczyna się od śmierci jej bohatera. Silas Deemer zmarł szesnastego lipca 1863 roku, a w dwa dni później pochowano jego doczesne szczątki. Ponieważ był on osobiście znany wszystkim mężczyznom, kobietom i wyrostkom w miasteczku, w pogrzebie, jak wyraził się miejscowy dziennik, „wzięto masowy udział”. Zgodnie ze zwyczajem panującym w owym czasie i miejscu otworzono trumnę nad grobem i całe grono przyjaciół i sąsiadów przedelfowało, by rzucić ostatnie spojrzenie na oblicze zmarłego. A później, na oczach wszystkich, Silasa Deemera oddano ziemi. Niektórzy mieli odrobinę zamglony wzrok, lecz ogólnie rzecz biorąc, można powiedzieć, że na tym pogrzebie nie brak było ani dowodów szacunku, ani baczących spojrzeń. Nie ulegało wątpliwości, że Silas umarł, i nikt nie mógłby wskazać żadnego uchybienia w obrzędzie, które usprawiedliwiałyby jego powrót zza grobu. Jednakowoż, jeśli ludzkie świadectwo jest coś warte (a z pewnością położyło ono ongiś kres praktykom czarnoksiężskim w Salem i okolicy), on powrócił.

Zapomniałem nadmienić, że śmierć i pochówek Silasa Deemera miały miejsce w małym miasteczku Hillbrook, gdzie mieszkał przez trzydzieści jeden lat. Był on, jak mówią w niektórych częściach Stanów Zjednoczonych (będących w powszechnym mniemaniu wolnym krajem) „kupcem”; innymi słowy, prowadził sklep z detalicznym handlem towarów, jakie zwykle sprzedaje się w sklepach tego rodzaju. Uczciwości jego nigdy nie podawano w wątpliwość, o ile wiadomo, i cieszył się on największym poważaniem u wszystkich. Jedyne, co mogliby mu zarzucić najbardziej skorzy do krytykowania, to zbyt oddanie się interesom. Lecz nie zarzucano mu tego, choć wielu innych, którzy przejawiali podobne skłonności w nie większym stopniu, osądzano z mniejszą wyrozumiałością. Interes, któremu poświęcił się Silas, był w znacznej części jego własny — to prawdopodobnie mogło stanowić pewną różnicę.

Po śmierci Deemera nikt nie umiał przypomnieć sobie, by choć jednego dnia, z wyjątkiem niedziel, nie spędził w swym „składzie” od czasu jego otwarcia przed z górą ćwierć wiekiem. Ciesząc się przez cały ten okres doskonałym zdrowiem, nie był w stanie uznać żadnej sprawy na tyle ważną, by mogła ona skłonić go do opuszczenia kontuaru. Powiadano, że ongiś, kiedy to wezwano go do siedziby administracji okręgu jako świadka w ważkiej sprawie sądowej, a on nie stawił się, adwokat, który miał czelność zwrócić się do sądu z wnioskiem o „upomnienie” nieobecnego, spotkał się z ripostą, że sąd przyjął tę propozycję ze „zdziwieniem”. Wzbudzenie sędziowskiego zdziwienia nie należy na ogół do celów stawianych sobie przez prawników; wniosek pospiesznie wycofano i porozumienie z drugą stroną zawarto w oparciu o to, co by pan Deemer powiedział, gdyby był obecny — druga strona wyciągnęła wszelkie możliwe korzyści i złożyła fałszywe zeznania, wyraźnie naruszając interesy przeciwników. Krótko mówiąc, w całej okolicy panowało ogólne przeświadczenie, że obecność Silasa Deemera stanowi w Hillbrook jedyną niewzruszoną prawdę, a jego przeniesienie się w zaświaty może przyspieszyć nadejście jakiegoś ponurego, powszechnego nieszczęścia lub druzgocącej klęski.

Pani Deemer i dwie dorosłe córki zajmowały pokoje na piętrze budynku, lecz nigdy nie słyszano, by Silas spał gdzie indziej niż na pryczy za kontuarem sklepowym. I tam, całkiem przypadkowo, znaleziono go pewnej nocy konającego, a zszedł z tego świata tuż przed porą podnoszenia żaluzji. Choć nie mógł mówić, wydawał się przytomny i ci, którzy znali go najlepiej, myśleli, że gdyby nieszczęśliwie koniec nie nastąpił przed zwykłą godziną otwarcia sklepu, wywarłoby to na niego żaloszny wpływ.

Taki już był Silas Deemer — taka była stałość i niezmiennosc jego życia i zwyczajów, że miasteczkowy dowcipniś (który ongiś chadzał do szkół) ośmielił się nadać mu przydomek

„Starego Ibidem”, a w pierwszym po jego śmierci wydaniu miejscowej gazety wyjaśnił, nie ubliżając jego pamięci, że Silas wziął „wolny dzień”. Było to więcej niż jeden dzień, lecz, jak to wynika z zapisków, w ciągu niespełna miesiąca pan Deemer dał jasno do zrozumienia, że nie może sobie pozwolić na to, by być nieboszczykiem.

Jednym z najszacowniejszych mieszkańców Hillbrook był bankier, Alvan Creede. Mieszkał on w najokazalszym domu w mieście, trzymał powóz i był najbardziej godnym szacunku człowiekiem pod wieloma względami. Wiedział też coś niecoś o korzyściach płynących z podróży, jako że często odwiedzał Boston, a raz, jak mniemano, był nawet w Nowym Jorku, choć on sam skromnie zaparł się owego przydającego blasku wyróżnienia. Sprawa ta została tu poruszona jedynie jako przyczynek do właściwego oceniania wartości pana Creede, albowiem w obu wypadkach przynosi mu to chlubę — jego inteligencji, jeśli nawiązał kontakt, choćby chwilowy, z kulturą metropolii, a jego szczerości, jeśli tak nie było.

Pewnego przyjemnego letniego wieczoru około godziny dziesiątej pan Creede, wszedłszy przez furtkę do swego ogrodu, ruszył żwirowaną alejką, która jasno białała w poświacie księżycy, wszedł na kamienne schodki swego wspaniałego domu i, przystanąwszy na chwilę, wsunął klucz do zamka. Pchnąwszy i otworzywszy drzwi natknął się na żonę, która przechodziła korytarzem z salonu do biblioteki. Powitała go serdecznie i rozwarłszy szerzej drzwi przytrzymała je, by mógł wejść. Zamiast tego jednak on odwrócił się i spoglądając pod nogi przed progiem wydał okrzyk zdumienia:

— Jakżeż to! Co, u diabła — rzekł — stało się z tym dzbankiem?

— Jakim dzbankiem, Alvan? — spytała żona, nie bardzo rozumiejąc.

— Dzbankiem klonowego syropu... przyniosłem go ze sklepu po drodze i postawiłem tu, by otworzyć drzwi. Co, do...

— No, no, Alvan, proszę, nie przeklinaj więcej — przerwała mu dama. Hillbrook, nawiasem mówiąc, nie jest jedynym miejscem we wspólnocie chrześcijańskiej, gdzie szcztakowy politeizm zabrania wzywać nadaremno imienia Złego.

Dzbaną syropu klonowego, który, dzięki dobrym zwyczajom prostego życia wiejskiego, pierwszy obywatel Hillbrook mógł sam przynieść ze sklepu do domu — nie było.

— Jesteś całkiem pewien, Alvan?

— Moja droga, czy sądzisz, że człowiek może nie wiedzieć, że dzwiga dzban? Kupiłem ten syrop u Deemera przechodząc tamtędy. Deemer sam wyciągnął i pożyczył mi ten dzban, a ja...

Zdanie to po dziś dzień pozostało nie dokończone. Pan Creede chwiejnym krokiem ruszył w głąb domu, wszedł do salonu i opadł na fotel, drżąc na całym ciele. Albowiem nagle przypomniał sobie, że Silas Deemer nie żyje od trzech tygodni.

Pani Creede stała przy mężu spoglądając nań ze zdziwieniem i niepokojem.

— Na miłość boską — powiedziała — co ci dolega?

Ponieważ dolegliwość pana Creede'a nie miała oczywistych powiązań z interesami lepszego świata, najwyraźniej nie uważał za niezbędne udzielić żonie żądanych wyjaśnień; milczał — i patrzył bezmyślnie w przestrzeń. Mijały długie chwile ciszy przerywanej tylko miarowym tykaniem zegara, który zdawał się chodzić wolniej niż zwykle, jak gdyby udzielając im uprzejmie dodatkowego czasu na pozbieranie myśli.

— Jane, postradałem zmysły... ot co. — Mówił z pośpiechem stłumionym głosem. — Powinnaś była mi powiedzieć; musiałaś spostrzec objawy choroby, zanim ujawniły się tak wyraźnie, że ja sam je spostrzegłem. Zdawało mi się, że mijam skład Deemera; był otwarty i oświetlony... to znaczy tak myślałem. Oczywiście nigdy teraz nie jest otwarty. Silas Deemer stał przy kasie za ladą. Mój Boże, Jane, widziałem go tak wyraźnie, jak widzę ciebie. Przypomniawszy sobie, że mówiłaś mi, iż potrzebujesz trochę syropu klonowego, wszedłem i kupiłem go... to wszystko... kupiłem dwie kwarty klonowego syropu od Silasa Deemera, który nie żyje i jest w ziemi, ale mimo to zaczerpnął tego syropu z beczułki i podał mi go w dzbanie.

Rozmawiał ze mną również, dość poważnym tonem, pamiętam, nawet poważniejszym, niż było to jego zwyczajem, ale ani słowa z tego, co powiedział, nie mogę sobie teraz przypomnieć. Lecz go widziałem... dobry Boże, widziałem i rozmawiałem z nim... a on nie żyje! Tak sądziłem, ale jestem pomyłony, Jane, jestem znikowanym szaleńcem, a ty to ukrywałaś przede mną!

Monolog ten dał kobiecie czas na odzyskanie zdolności myślenia na tyle, na ile ją posiadała.

— Alvan — rzekła — nie zdradzałeś objawów choroby umysłowej, wierzaj mi. To niewątpliwie było złudzenie — jakże mogłoby to być coś innego? To byłoby zbyt straszne! Ale nie ma mowy o obłądnie. Zbyt ciężko pracujesz w banku. Nie powinienesz być uczestniczyć w tym zebraniu dyrektorów dziś wieczór. Każdy mógłby stwierdzić, że jesteś chory. Wiedziałam, że coś się stanie.

Mogło mu się wydawać, że proctwo odwlekło się nieco w oczekiwaniu na wydarzenie, lecz niczego takiego nie powiedział, tak bardzo był pochłonięty swym stanem. Uspokoił się już i mógł myśleć logicznie.

— Niewątpliwie zjawisko to było subiektywne — rzekł, w dość niedorzeczny sposób przechodząc na naukowy żargon. — Zakładając, że możliwe jest duchowe objawienie, a nawet materializacja duszy, to jednak ukazanie się i materializacja półgalonowego dzbanka z brunatnej glinki — grubego, ciężkiego wyrobu garncarskiego, tworzącego się z niczego — jest nie do pomyślenia.

Ledwie przestał mówić, do pokoju wbiegło dziecko — jego mała córeczka, przyodziana w koszulę nocną. Pospieszywszy do ojca zarzuciła mu ramiona na szyję i zawołała:

— Ty niedobry papo, zapomniałeś przyjść do naszego pokoju i dać mi buziaka. Słyszeliśmy, jak otwierałeś furtkę, więc wstaliśmy i wyjrzeliliśmy przez okno. I, papo kochany, Eddy pyta, czy nie mógłby dostać tego małego dzbanka, kiedy będzie pusty?

Gdy całe znaczenie tego odkrycia dotarło w pełni do jego świadomości, Alvan Creede zdrzął w widoczny sposób. Albowiem dziecko nie mogło usłyszeć ani słowa z rozmowy.

Posiadłość Silasa Deemera znajdowała się w rękach administratora, który był zdania, że najlepiej będzie sprzedać „interes”. I tak oto sklep zamknięty był od śmierci właściciela, towary zabrane przez innego „kupca”, który nabył je *en bloc*. Również pokoje na piętrze stały puste, gdyż wdowa przeniosła się z córkami do innego miasta.

Już następnego wieczoru po przygodzie Alvana Creede'a (o której wieść jakoś się rozniosła) tłum mężczyzn, kobiet i dzieci zgromadził się na chodniku naprzeciw sklepu. O tym, że miejsce to nawiedza duch świętej pamięci Silasa Deemera, wiedział już doskonale każdy mieszkaniec Hillbrook, aczkolwiek wielu udawało niedowierzanie. Najwięksi i jednocześnie najmłodszy z owych niedowiarków jęli obrzucać kamieniami fronton budynku, jedyną dostępną jego część, lecz starannie omijali nie osłonięte żaluzjami okna. Niedowiarstwo nie przerodziło się w złośliwość. Kilku śmiałków przeszło na drugą stronę ulicy i zastukało w framugę drzwi; zapalili zapałki i przytrzymali je przy oknie usiłując przebić wzrokiem ciemność wnętrza. Niektórzy z gapiów zwracali na siebie uwagę swymi dowcipami krzyjąc, postępując i wzywając upióra do zmierzenia się w biegach.

Gdy upłynęło sporo czasu bez żadnych wydarzeń, a wielu z ciżby odeszło, ci, którzy pozostali, spostrzegli, że wnętrze sklepu poczęło zabarwiać się mdłym, żółtym światłem. Wówczas wszelka działalność tłumy ustała. Nieustraszeni śmiałkowie przy drzwiach i oknach odskoczyli na przeciwną stronę ulicy i zmieszali się z gawiedzią; mali chłopcy przestali ciskać kamieniami. Wszyscy wstrzymali oddech; szepcząc z podnieceniem wskazywali na z wolna teraz rozjaśniające się światło. Ile czasu upłynęło, odkąd ujrano pierwszy słaby jego przebłysk, nikt nie mógłby powiedzieć, wreszcie jednak oświetlenie stało się na tyle jasne, że ukazało całe wnętrze sklepu; a tam ujrano wyraźnie stojącego przy kasie za ladą Silasa Deemera!



Efekt, jaki to wywarło na zbiegowisku, był nadzwyczajny. Tłum począł raptownie topnieć po obu skrzydłach, bojaźliwi bowiem opuszczali to miejsce. Wielu pierzchało tak prędko, jak tylko pozwalały im na to nogi, inni odchodzili z większą godnością, oglądając się od czasu do czasu przez ramię. Wreszcie dwudziestu ludzi, bądź nieco więcej, przeważnie mężczyzn, pozostało na miejscu gapiąc się w milczeniu i podnieceniu. Zjawą wewnątrz sklepu nie zwracała na nich uwagi; była najwyraźniej zajęta księgą rachunkową.

Niebawem trzech mężczyzn wystąpiło z ciżby na chodniku, jak gdyby powodowanych wspólną myślą, i przeszło na drugą stronę ulicy. Jeden z nich, ociężały, masywny mężczyzna, już miał ramieniem sforsować drzwi, kiedy otworzyły się same, najwidoczniej bez ludzkiej pomocy, i odważni poszukiwacze przygód weszli do środka. Gdy tylko przekroczyli próg, przerażeni widzowie zgromadzeni na zewnątrz ujrzeli ze zgrozą, że tamci zachowują się w zupełnie niepojęty sposób. Wyrzucali ręce przed siebie, obierali okrężną drogę, wpadali z impetem na kontuar, na pudła i beczki stojące na podłodze, i jeden na drugiego. Kręcili się niezdarnie tu i tam i zdawało się, że usiłują uciec, lecz nie są w stanie zawrócić z obranej drogi. Słyszano ich głośne okrzyki i przekleństwa. Jednakże zjawą Silasa Deemera w najmniejszym nawet stopniu nie przejawiała zainteresowania tym, co się wokół dzieje.

Co stało się siłą napędową tłumu, nikt nigdy sobie nie przypomniał, dość, że cała rzesza — mężczyźni, kobiety, dzieci, psy — równocześnie i zgiełkowie rzuciła się ku wejściu. Tłocząc się zatarasowali drzwi, zrazu napierając jeden na drugiego, by być pierwszym — a później rozciągnęli się w długi wąż, sunąc krok za krokiem. Mocą jakiejś ledwo uchwytniej duchowej bądź fizycznej alchemii obserwacja została przekształcona w czynną akcję — widzowie stali się współtwórcami widowiska — widownia wtargnęła na scenę.

Dla jedynego widza pozostałego po przeciwnej stronie ulicy — dla bankiera Alvana Creede'a — wewnątrz sklepu z napływającym doń tłumem stało nadal w pełnym świetle i wszelkie osobliwości, jakie tam się działy, były wyraźnie widoczne. Dla tych w środku wszystko spowijała czarna ciemność. Było to tak, jak gdyby każdego, kogo wepchnięto przez owe drzwi, dotykała ślepotą i nieszczęście to przyprawiało go o utratę zmysłów. Ludzie posuwali się po omacku bez celu, ładu i składu, usiłowali przedostać się w ścisku pod prąd, pchali się i rozpychali łokciami, wymierzali ciosy na chybił trafił, padali i byli tratowani, podnosili się, by sami z kolei trutować. Chwyтали jeden drugiego za ubranie, włosy, brodę — walczyli jak zwierzęta, złorzeczyli, wrzeszczeli, obrzucali się nawzajem ohydny i plugawymi wyzwiskami. Gdy wreszcie Alvan Creede ujrzął ostatnią osobę z szeregu wchodzącą w ów straszliwy zgiełk, światło, które go oświetlało, niespodzianie zagasło i wszystko stało się tak czarne dla niego, jak było dla tamtych wewnątrz. Odwrócił się i odszedł.

Wczesnym rankiem ciekawski tłum zebrał się wokół „Deemera”. Składał się częściowo z tych, którzy uciekli poprzedniego wieczoru, lecz teraz, w słonecznym świetle, nabrali odwagi, a częściowo z bogobojnego ludu spieszącego do codziennych mozolnych zajęć. Drzwi sklepu stały otworem: pomieszczenie było puste, lecz na ścianach, podłodze, sprzętach wisiały strzępy ubrań i kłaki włosów. Wojowniczym mieszkańcom Hillbrook udało się jakoś wyrwać stamtąd i umknąć do domu, by opatrzyć rany, przysięgając, że całą noc spędzili w łóżku. Na zakurzonej kasie za ladą leżała księga rachunkowa. Ostatnie w niej pozycje, wpisane charakterem pisma Deemera, nosiły datę 16 lipca, ostatniego dnia jego życia. Późniejsza sprzedaż Alvanowi Creede'owi nie została odnotowana.

Oto cała historia — nie wspominając o tym, że kiedy ucichły ludzkie namiętności, a zdrowy rozsądek odzyskał odwieczną władzę, przyznawano w Hillbrook, iż biorąc pod uwagę nieszkodliwy i uczciwy charakter jego pierwszej handlowej transakcji w nowych warunkach, prawdopodobnie pogodzono by się z ponownym objęciem sklepu przez zmarłego Silasa Deemera w dawnym miejscu i poniechano by dalszych zbiegowisk. Miejscowy historyk był na tyle rozważny, że podzielił tę opinię, i z jego to nie wydanego drukiem dzieła zostały zaczerpnięte powyższe fakty.

## Halucynacje Staleya Fleminga

Z dwóch rozmawiających ze sobą mężczyzn jeden był lekarzem.

— Posłałem po pana, doktorze — powiedział drugi — ale nie sądzę, by potrafił mi pan pomóc. Może będzie pan mógł polecić mi specjalistę psychiatrę. Mam wrażenie, że jestem nieco pomyłony.

— Wygląda pan na zdrowego — rzekł lekarz.

— Pan sam osądzi... miewam halucynacje. Budzę się co noc i widzę w moim pokoju uporczywie wpatzonego we mnie wielkiego, czarnego spaniela nowofundlandzkiego z białą przednią łapą.

— Powiada pan, że się budzi; czy jest pan tego pewien? „Halucynacje” są niekiedy tylko snami.

— Och, budzę się z całą pewnością. Niekiedy leżę jeszcze przez dłuższy czas patrząc na psa tak poważnie, jak pies patrzy na mnie... zawsze zostawiam zapalone światło. Kiedy nie mogę dłużej tego znieść, siadam na łóżku... i niczego tam nie ma.

— Hm... a jak wygląda to zwierzę?

— Mnie jego wygląd wydaje się złowrogi. Wiem oczywiście, że wyjąwszy dziedzinę sztuki, fizjonomia zwierzęcia leżącego spokojnie ma zawsze ten sam wyraz. Lecz to nie jest prawdziwe zwierzę. Spaniele nowofundlandzkie mają bardzo łagodny wygląd, wie pan. Co może dolegać temu psu?

— Doprawdy, moja diagnoza nie miałaby żadnej wartości: nie mam zamiaru leczyć psa.

Lekarz roześmiał się z własnego dowcipu, lecz kątem oka bacznie obserwował swego pacjenta. Po chwili rzekł:

— Panie Fleming, zwierzę przez pana opisane przypomina psa świętej pamięci Atwella Bartona.

Fleming, uniósłszy się na pół z krzesła, usiadł na powrót i zrobił widoczny wysiłek, by zachować obojętność.

— Pamiętam Bartona — powiedział — zdaje mi się, że on został... powiadano, że... czy nie było niczego podejrzanego w jego śmierci?

Patrząc teraz prosto w oczy swego, pacjenta lekarz rzekł:

— Przed trzema laty ciało pańskiego dawnego wroga. Atwella Bartona, znaleziono w lasku w pobliżu jego i pańskiego domu. Został zaszytyletowany. Nikogo nie aresztowano, nie znaleziono klucza do tajemnicy. Niektórzy z nas mieli swoje „teorie”. I ja miałem jedną. A pan?

— Ja? Ależ, na Boga, a cóż ja mogę o tym wiedzieć? Pamięta pan, że wyjechałem do Europy prawie natychmiast po tym... w dłuższy czas po tym. Nie spodziewa się pan chyba, bym w ciągu tych kilku tygodni, jakie upłynęły od chwili mego powrotu, zbudował sobie jakąś „teorię”. W istocie nie myślałem o tym ani razu. Co z jego psem?

— To on pierwszy znalazł ciało. Zdechł z głodu na jego grobie.

Nie znane są nam prawa rządzące zbiegami okoliczności. Staley Fleming nie znał ich również, w przeciwnym bowiem wypadku nie zerwałby się na równe nogi w momencie, gdy nocny wiatr przyniósł przez otwarte okno przeciągłe, zawodzące, dalekie wycie psa. Przemierzył kilkakrotnie pokój pod nieugiętym wzrokiem lekarza; w pewnej chwili niespodziewanie stanął przed nim krzycząc nieomal:

— Co to wszystko ma wspólnego z moją dolegliwością, doktorze Halderman? Zapomniał pan, po co pana wezwano.

Wstając lekarz położył dłoń na ramieniu swego pacjenta i rzekł łagodnie:

— Wybacz pan. Nie mogę postawić od ręki diagnozy pańskiej dolegliwości... jutro,

być może. Proszę położyć się do łóżka i nie zamykać drzwi sypialni na klucz. Spędzę tę noc tutaj, w towarzystwie pańskich książek. Czy może mnie pan wezwać nie wstając?

— Tak, mam dzwonek elektryczny.

— Dobrze. Jeśli cokolwiek zakłóci pański spokój, proszę nacisnąć guzik dzwonka nie siadając. Dobranoc.

Wygodnie usadowiony w fotelu, medyk wpatrywał się w rozżarzone węgielki rozmyślając głęboko i długo, choć najwyraźniej z niewielkim skutkiem, często bowiem wstawał i otwierał drzwi prowadzące do klatki schodowej nasłuchując uważnie, po czym siadał na powrót. Niebawem jednak usnął, a kiedy się obudził, było już po północy. Pogrzebał w kominku, by rozniecić nieco dogasający ogień, wziął książkę ze stoliczka stojącego obok niego i spojrzał na tytuł. Były to *Medytacje Dennekera*. Otworzył książkę na chybił trafił i począł czytać:

„Skoro, jak to jest ustanowione przez Boga, każde ciało ma duszę i przez to nabiera duchowej siły, to również dusza ma siłę ciała, nawet wówczas gdy opuści ciało i żyje jako oddzielny twór, na co wskazuje wiele aktów przemocy dokonanych przez duchy i lemury. A są i tacy, którzy powiadają, że człowiek nie jest w tym odosobniony, gdyż i zwierzęta mają podobnie złe skłonności i...”

Czytanie przerwał mu łomot, który wstrząsnął domem, spowodowany jak gdyby upadkiem ciężkiego przedmiotu. Czytający rzucił książkę, wybiegł z pokoju i pośpiesznie wszedł po schodach kierując się do sypialni Fleminga. Nacisnął kłamekę, lecz wbrew jego poleceniu drzwi były zamknięte na klucz. Napał na nie ramieniem z taką siłą, że ustąpiły. Na podłodze obok rozgrzebanego łóżka leżał w nocnym stroju Fleming wydający ostatnie tchnienie.

Lekarz uniósł z podłogi głowę konającego mężczyzny i obejrzał ranę na szyi. „Powinienem być o tym pomyśleć”, rzekł w przekonaniu, że ma do czynienia z samobójstwem.

Przeprowadzona po śmierci obdukcja zwłok ujawniła niewątpliwe ślady zwierzęcych kłów głęboko wbitych w żyłę szyjną.

Zwierzęcia jednak nie znaleziono.

## Odzyskana tożsamość

### I. REWIA WOJSKOWA NA POWITANIE

Pewnej letniej nocy jakiś człowiek stał na niskim wzgórzu, z którego roztaczał się widok na szerokie połacie lasu i pól. Księżyc w pełni wiszący nisko na zachodzie wskazywał mu, czego inaczej nie mógłby wiedzieć, że zbliża się godzina brzasku. Lekkie opary osnuwały ziemię, częściowo spowijając niższe partie krajobrazu, lecz ponad nią kępy wyższych drzew odcinały się wyraźnie na tle czystego nieba. W mgłę rysowały się dwa lub trzy wiejskie domostwa, w żadnym z nich jednak nie paliło się, oczywiście, światło. Co więcej, nigdzie nie było żadnego znaku czy śladu życia, z wyjątkiem odległego ujadania psa, które, wielokrotnie powtarzane z mechaniczną częstotliwością, bardziej podkreślało, niż rozpraszało wrażenie pustki owego krajobrazu.

Człowiek rozejrzał się ciekawie wokół siebie na wszystkie strony jak ktoś, kto wśród znanego otoczenia nie potrafi ustalić dokładnie swego miejsca w odwiecznym porządku rzeczy. Być może tak właśnie zachowamy się, gdy powstawszy z martwych oczekiwać będziemy na sąd ostateczny.

Sto jardów dalej bieląca w poświacie księżyca prosta droga. Usiłując zorientować się w

terenie, jak powiedziała by geometra bądź żeglarz, mężczyzna przebiegł wzrokiem widoczny odcinek drogi i w odległości ćwierć mili od swego punktu obserwacyjnego spostrzegł zamazaną i szarą we mgle grupę konnych jadących na północ. Za nimi maszerowała kolumna pieszych z niewyraźnie połyskującymi karabinami, sterczącymi im ukośnie nad ramionami. Posuwali się wolno i w milczeniu. Następna grupa konnych, następny pułk piechoty, następny i następny — wszystkie w bezustannym ruchu, zmierzając wprost na niego, mijały go i oddalały się. Za nimi sunęła bateria artylerii, kanonierzy jechali z bronią złożoną na przodku dział i w jaszczach. I nadal ów nieskończony pochód wyłaniał się z mroku południa, by ginać w mroku północy bez dźwięku mowy ludzkiej, tętentu kopyt czy dudnienia kół.

Mężczyzna nie mógł tego pojąć: uznał, że jest głuchy; rzekł to głośno i usłyszał własny głos, choć miał on obce brzmienie, które nieomal go przeraziło; nie odpowiadało temu, czego oczekiwało jego ucho pod względem *timbre* i rezonansu. Jednakże nie był głuchy, i to na razie wystarczało.

Wówczas przypomniał sobie o istnieniu zjawisk naturalnych, którym ktoś nadał nazwę „cieni akustycznych”. Jeśli człowiek znajdzie się w akustycznym cieniu, z jednej ze stron nie dotrze doń żaden dźwięk. W bitwie pod Gaines's Mill, jednej z najzacieklejszych potyczek wojny domowej, w której grało sto armat, obserwatorzy oddaleni o półtorej mili, po przeciwnej stronie doliny Chickahominy, nie słyszeli nic z tego, co wyraźnie widzieli. Bombardowania Port Royal, które słyszano i odczuwano w St. Augustine sto pięćdziesiąt mil na południe, nie było słycać dwie mile dalej na północ w nieruchomym powietrzu. Na kilka dni przed poddaniem się w Appomattox miało miejsce burzliwe starcie zbrojne pomiędzy oddziałami Sheridana i Picketta; odgłosy bitwy nie dotarły do uszu tego ostatniego dowódcy, choć znajdował się on w odległości jednej mili na tyłach własnych szeregów.

Przypadki owe nie były znane człowiekowi, o którym piszemy, nie uszły jednak jego uwagi obecne, mniej być może uderzające zdarzenia tego samego rodzaju. Był dogłębnie zaniepokojony, lecz bynajmniej nie z przyczyny całkowitej ciszy, w jakiej sunął ów niesamowity pochód w poświacie księżycy.

— Dobry Boże! — rzekł do siebie, i znów zabrzmiało to tak, jak gdyby ktoś inny przemówił jego ustami — jeśli Ci ludzie są tymi, za jakich ich biorę, my przegraliśmy bitwę, a oni idą na Nashville!

W tym momencie pomyślał o sobie — lęk — silne poczucie zagrożenia własnej osoby, takie jakie u innych nazywamy strachem. Pospiesznie skrył się w cieniu drzewa. Milczące bataliony nadal sunęły wolno naprzód w lekkiej mgiełce.

Poczuł nagle chłodny powiew na karku i to sprawiło, że zwrócił uwagę na kierunek, z jakiego wiał wietrzyk. Obróciwszy się ku wschodowi ujrzał bladą szarą poświatę nad widokręgiem — pierwszy zwiastun powracającego dnia. Wzmogło to jego obawy.

Muszę stąd uciekać — pomyślał — inaczej znajdą mnie i pojną.

Wyszedł z cienia i ruszył pospiesznie ku szarzącemu wschodowi. Z bezpieczniejszego ustronia, jakim była kępa cedrów, obejrzał się za siebie. Cała kolumna zniknęła z pola widzenia: prosta biała droga leżała obnażona i opustoszała w księżycowym blasku!

Jego uprzednie zaintrygowanie przerodziło się teraz w niewymowne zdumienie. Tak szybkie przejście tak powolnej armii! — Nie mógł tego zrozumieć. Minuta za minutą mijały niepostrzeżenie; zatracił poczucie czasu. Szukał ze straszliwą powagą rozwiązania tajemnicy, jednakże szukał na próżno. Gdy wreszcie otrząsnął się z zamyślenia, ponad wzgórzami jaśniał już rąbek kuli słonecznej, w tych nowych atoli okolicznościach nie oświeciło go żadne inne światło prócz światła dnia; jego umysł był równie głęboko pogrążony w mroku wątpliwości, co uprzednio.

Po obu stronach leżały uprawne pola nie noszące najmniejszych śladów działań bądź zniszczeń wojennych. Cienkie strużki błękitnego dymu, dobywające się z kominów wiejskich domostw, oznajmiały o przygotowaniach do codziennego trudu czasu pokoju. Pies podwórzo-

wy, przerwawszy swą odwieczną przemowę do księżycy, począł asystować jakiemuś Murzynowi, który zaprzęgając parę mułów do pługa nucił wesoło przy pracy. Bohater tej opowieści gapił się tępo na ów sielski obrazek, jak gdyby nigdy w całym swym życiu nie oglądał czegoś podobnego; w pewnej chwili przyłożył rękę do głowy, przesunął nią po włosach, a następnie począł bacznie przyglądać się wewnętrznej stronie dłoni — osobliwa czynność. Potem, najwidoczniej uspokojony, ruszył ufnie w stronę drogi.

## II. SKOROŚ STRACIŁ ŻYCIE, PORADŹ SIĘ LEKARZA

Doktor Stilling Maison z Murfreesboro, będąc z wizytą u pacjenta w domu odległym o sześć czy siedem mil przy nashvillskim gościńcu, czuwał przy nim całą noc. Z brzaskiem dnia udał się w drogę powrotną konno, jak to było zwyczajem lekarzy w owym czasie i kraju. Przejżdżał właśnie w pobliżu pola bitwy nad Stone River, kiedy to ze skraju drogi podszedł doń jakiś człowiek i zasalutował po wojskowemu przytykając prawą rękę do ronda kapelusza. Wszelako kapelusz nie był wojskowym kapeluszem, mężczyzna nie nosił munduru ani nie miał żołnierskiej postawy. Doktor skinął grzecznie głową przypuszczając, że niezwykle pozdrowienie nieznanego podyktowane zostało szacunkiem dla tego historycznego miejsca. Ponieważ nieznanomy najwyraźniej pragnął z nim rozmawiać, lekarz ściągnął cugle i przybrał uprzejmą, wyczekującą postawę.

— Panie — zagadnął nieznanomy — choć jest pan cywilem, być może jest pan wrogiem.

— Jestem lekarzem — padła wymijająca odpowiedź.

— Dziękuję — rzekł ten pierwszy — jestem porucznikiem ze sztabu generała Hazena — urwał na chwilę i spojrzawszy bacznie na swego rozmówcę dodał: — z armii federalnej.

Lekarz skinął jedynie głową.

— Proszę łaskawie powiedzieć mi — ciągnął tamten — co się tu wydarzyło. Gdzie są armie? Która z nich wygrała bitwę?

Lekarz zapatrywał się ciekawie pytającemu spod na pół przymkniętych powiek. Przeciągnawszy ową zawodową, rzec można, obserwację do granic przyzwoitości, rzekł:

— Proszę wybaczyć, lecz ten, kto chce zdobyć informacje, powinien ich również chętnie udzielać. Czy jest pan ranny? — dodał z uśmiechem.

— Nic poważnego... zdaje się.

Mężczyzna zdjął niewojskowy kapelusz, przyłożył rękę do głowy, przesunął dłonią po włosach i opuściwszy ramię z uwagą przyjrzał się wewnętrznej stronie dłoni.

— Drasnęła mnie kula i straciłem przytomność. Musiało to być lekkie, powierzchowne muśnięcie: nie znajduję krwi ani nie czuję bólu. Nie będę pana niepokoił prosząc o lekarską pomoc, lecz czy zechciałby pan łaskawie wskazać mi drogę do mej komendy — do jakiegokolwiek oddziału armii federalnej — jeśli pan ją zna?

I tym razem doktor nie udzielił natychmiastowej odpowiedzi: przypominał sobie wiele z tego, co zapisano w podręcznikach jego profesji — coś o utracie tożsamości i wpływie, jaki mają znajome miejsca na jej odzyskanie. Wreszcie spojrzął mężczyźnie prosto w twarz, uśmiechnął się i rzekł:

— Poruczniku, nie nosi pan munduru odpowiadającego pańskiej randze i służbie.

Na te słowa mężczyzna powiódł wzrokiem po swym cywilnym ubraniu, podniósł oczy i odparł z wahaniem:

— To prawda. Ja... ja nie całkiem pojmuję.

Wciąż obserwując go bacznie, lecz nie bez współczucia, uczony mąż zapytał bez ogródek:

— Ile pan ma lat?  
— Dwadzieścia trzy... o ile ma to coś do rzeczy.  
— Nie wygląda pan na tyle; trudno byłoby mi zgadnąć, że jest pan w tym właśnie wieku.

Mężczyzna począł się niecierpliwić:

— Nie ma potrzeby o tym mówić — rzekł — chcę dowiedzieć się czegoś o armii. Przed niespełna dwoma godzinami widziałem kolumnę wojska sunącą tą drogą na północ. Musiał pan ich spotkać. Niech pan będzie tak dobry i powie mi, jaki był kolor ich mundurów, gdyż nie zdołałem go rozpoznać, a nie będę już zabierał panu więcej czasu.

— Jest pan całkiem pewien, że ich pan widział?

— Pewien? Mój Boże, panie, mogłem ich policzyć!

— No cóż, doprawdy — rzekł medyk z zabawną świadomością własnego podobieństwa do gadatliwego golibrody z *Baśni z tysiąca i jednej nocy* — to bardzo zajmujące. Nie spotkałem żadnych wojsk.

Mężczyzna obrzucił go chłodnym spojrzeniem, jak gdyby on także spostrzegł owo podobieństwo do golibrody.

— To jasne, że nie zamierza mi pan pomóc. Panie, możesz pan iść do diabła!

Odwrócił się i ruszył przed siebie długimi krokami, na przełaj przez rosiste pola. Jego dręczyciel spokojnie, acz z pewną skruchą spoglądał za nim ze swego punktu obserwacyjnego na siodle, póki tamten nie znikł za rzędem drzew.

### III. NIEBEZPIECZEŃSTWO PRZEGLĄDANIA SIĘ W KAŁUŻY

Zszedłszy z gościńca wędrowiec zwolnił kroku i począł posuwać się naprzód dość okrężną drogą, wyraźnie odczuwając zmęczenie. Nie mógł wytłumaczyć sobie tego wszystkiego, aczkolwiek, szczerze mówiąc, nie kończąca się gadatliwość owego wiejskiego lekarza podsuwała wyjaśnienie. Usiadłszy na jakimś gładzie położył jedną dłoń na kolanie wierzchem ku górze i przypadkiem na nią spojrział. Była wychudła i pomarszczona. Podniósł obie ręce do twarzy. Była poorana bruzdami i głębokimi zmarszczkami; wyczuwał opuszkami palców ich linie. Jakżeż osobliwe! Zwyczajne zadraśnięcie od kuli i krótka utrata przytomności nie mogą uczynić z człowieka fizycznej ruiny.

— Musiałem spędzić dłuższy czas w szpitalu — powiedział głośno. — Och, jakimże głupcem jestem! Bitwa miała miejsce w grudniu, a teraz jest lato! — roześmiał się. — Nic dziwnego, że ten jegomość wziął mnie za zbiegłego wariata. Pomylił się: jestem tylko zbiegłym pacjentem.

Uwagę jego przyciągnął mały kawałek gruntu leżący w niewielkiej odległości i otoczony murkiem. Bez ściśle określonego zamiaru mężczyzna wstał i podszedł do tego miejsca. Pośrodku wznosił się kwadratowy, solidny pomnik z ciosanego kamienia. Zbrązowiał ze starości i nosił ślady zmiennej pogody; pocętkowany był mchem i porostami. Pomiedzy masywnymi blokami sterczały kępki trawy, której korzenie rozsadzały bloki. W odpowiedzi na wyzwanie rzucone przez ową ambitną budowlę Czas położył na niej swą niszczycielską dłoń i wyglądało na to, że niebawem stanie się ona tym, czym jest Niniwa i Tyr. W inskrypcji po jednej stronie pomnika spostrzegł znajome nazwisko. Drżąc z podniecenia podciągnął się na mur i przeczytał:

BRYGADA GEN. HAZENA  
Ku pamięci żołnierzy poległych  
nad Stone River, 31 grudnia 1862

Mężczyzna spadł z muru, słaby i na pół omdlały. Nieomal w zasięgu ręki było małe zagłębienie w ziemi, świeżo napełnione wodą deszczową — kałuża przejrzystej wody. Podczołgał się doń, by się nieco orzeźwić, uniósł górną część ciała na drżących ramionach, wysunął głowę do przodu i ujrzał odbicie własnego oblicza niczym w zwierciadle. Krzyknął przeraźliwie. Ramiona ugięły się pod nim; upadł twarzą w kałużę i skończył życie, które sprzęgło się z innym istnieniem.

## Mały włóczęga

Gdybyście widzieli małego Jo stojącego w strugach deszczu na rogu ulicy, widok ten nie zachwyciłby was. Była to pozornie zwyczajna jesienna burza z ulewą, jednakże woda spadająca na Jo (który liczył sobie zbyt mało lat, by być sprawiedliwym bądź niesprawiedliwym, a więc, być może, nie podlegał prawu bezstronnego podziału) zdawała się posiadać pewne sobie tylko właściwe cechy: można by powiedzieć, że była ciemna i kleista — lepka. Jest to jednak mało prawdopodobne, nawet jak na Blackburg, gdzie z pewnością działy się różne rzeczy daleko wybiegające poza zwyczajność.

Na przykład, przed około dziesięciu czy dwunastu laty spadł deszcz drobnych żabek, o czym wiarygodnie świadczy ówczesna kronika. Zapis kończy się pewnym niejasnym stwierdzeniem, iż kronikarz uznał to za pogodę sprzyjającą Francuzom.

W kilka lat później Blackburg pokrył się szkarłatnym śniegiem. Blackburg nawiedzają srogie zimy i częste, obfite opady śniegu. Nie może być co do tego żadnych wątpliwości — śnieg w tym przypadku był koloru krwi i stopniał przemieniając się w wodę o tym samym zabarwieniu, jeśli była to woda, a nie krew. Zjawisko to przyciągało powszechną uwagę i nauka dała tyleż wyjaśnień, ilu jest uczonych, którzy nic na ten temat nie wiedzieli. Wszelako mieszkańcy Blackburg — ludzie, którzy przez wiele lat żyli właśnie tam, gdzie spadł czerwony śnieg, i po których można by się spodziewać, że wiedzą wiele w tej materii — potrząsali głowami i powiadali, że coś z tego wyniknie.

I coś wynikło, albowiem następane lato upamiętniło się wybuchem tajemniczej choroby — epidemicznej, endemicznej czy Bóg jeden wie jakiej, bo lekarze nie wiedzieli — która zabrała dokładnie połowę ludności. Większość z pozostałej połowy wyniosła się i ociągała z powrotem, jednakże wreszcie powróciła i teraz rozwija się i rozmnaża tak jak przedtem, lecz od tamtej pory Blackburg nie jest już tym, czym był dawniej.

Zgoła innego rodzaju, choć równie „niepospolity”, był wypadek z duchem Hetty Parlow. Panięskie nazwisko Hetty Parlow brzmiało Brownon, a w Blackburg znaczyło to więcej, niż można by przypuszczać.

Brownonowie od niepamiętnych czasów — od najwcześniejszych dni okresu osadnictwa — byli najznamienitszą rodziną w mieście. Byli najbogatsi i najlepsi ze wszystkich i Blackburg przelałby ostatnią kroplę swej plebejskiej krwi w obronie dobrego imienia Brownonów. Ponieważ nieliczni jedynie członkowie rodziny mieszkali stale poza Blackburg, mimo iż większość z nich kształciła się gdzie indziej, a prawie wszyscy odbywali podróże, uzbierała się spora ich garstka. Mężczyźni piastowali większość wysokich urzędów, a kobiety przodowały we wszelkiego rodzaju pożytecznych pracach. Spośród tych niewiast Hetty darzono największą miłością ze względu na słodycz jej usposobienia, szlachetność charakteru i niezwykły urok osobisty. Poślubiła w Bostonie młodego szafawitę nazwiskiem Parlow; jako dobra Brownonówna przywozła go bezzwłocznie do Blackburg i zrobiła zeń człowieka, a nawet radnego miejskiego. Mieli dziecko, które nazwali Joseph i miłowali z całego serca, tak jak i

inni rodzice w tamtejszej okolicy. Wkrótce zmarli na uprzednio wspomnianą tajemniczą chorobę i osierocili Josepha, gdy ukończył on zaledwie pierwszy rok życia.

Nieszczęściem dla Josepha choroba, która przecięła nić żywota jego rodziców, na tym nie poprzestała. Sięgnęła dalej i zabrała nieledwie cały ród Brownonów wraz z jego członkami skoligaconymi przez małżeństwa. Ci zaś, którzy uratowali się ucieczką z miasta, nie powrócili więcej. Tradycja zanikła, posiadłości Brownonów przeszły w obce ręce i jedyni Brownonowie, jacy pozostali na miejscu, leżeli pod ziemią na cmentarzu Oak Hill, gdzie w istocie zebrała się cała ich kolonia, dość potężna, by stawić opór otaczającym ją zewsząd obcym rodowi, i zajmująca większą część gruntów.

Jednakże powróćmy do upiora.

Pewnej nocy, mniej więcej w trzy lata po śmierci Hetty Parlow, grupka młodych ludzi z Blackburg przejeżdżała powozem obok cmentarza Oak Hill — jeśli byliście tam, z pewnością pamiętacie, że gościniec do Greenton przebiega tuż obok cmentarza po południowej jego stronie. Wracali z pierwszomajowego święta w Greenton — szczegóły ten określa dokładnie datę. Wszystkich ich razem mogło być z tuzin osób, a stanowili wesołą gromadkę, zważywszy spuściznę przygnębienia po niedawnych smutnych wypadkach, jakie dotknęły miasteczko. W chwili gdy mijali cmentarz, powożący młodzieniec niespodziewanie ściągnął cugle zaprzęgu z okrzykiem zdumienia. Miał bez wątpienia ku temu wystarczający powód, albowiem dokładnie naprzeciw nich i prawie na skraju drogi, choć w obrębie cmentarza, stała zjawia Hetty Parlow. Nie mogło być co do tego wątpliwości, gdyż wszyscy młodzieńcy i dziewczęta z tej gromadki znali Hetty osobiście. „Fakt ten wystarczał dla ustalenia jej tożsamości, a na to, że był to duch, wskazywały wszelkie znaki przyjęte w świecie upiorów — całun, długie rozpuszczone włosy, „nieobecne” spojrzenie — słowem, wszystko. Owo niepokojące widmo wyciągało ramiona ku zachodowi, jak gdyby błagalnym gestem prosząc o wieczorną gwiazdę, która z pewnością była nęcącym obiektem, lecz w oczywisty sposób niedościgłym. Gdy tak siedzieli w milczeniu (jak zapewnia kronika), wszyscy członkowie owej rozbawionej gromadki — której wesołość podsyciła jedynie kawa i lemoniada — wyraźnie usłyszeli, że zjawia woła: „Joey, Joey!” Po chwili wszystko zniknęło. Oczywiście nie wszyscy muszą temu dawać wiarę.

A w tymże samym czasie, jak to później stwierdzono, Joey przedzierał się przez krzewy bylicy po przeciwnej stronie kontynentu, nie opodal Winnemucca w stanie Nevada. Został zabrany do tego miasta przez pewne zacne osoby, dalszych krewnych jego zmarłego ojca, którzy go adoptowali i czule się nim opiekowali. Jednakże tego właśnie wieczoru biedne dziecko oddaliło się samo od domu i zabłądziło na pustyni.

Późniejsze jego dzieje giną w mroku tajemnicy i istnieją w nich luki, które wypełnić mogą jedynie domysły. Wiadomo, że znalazła go pewna indiańska rodzina z plemienia Piute, która przez pewien czas trzymała nieboraka u siebie, a później sprzedała go — w rzeczy samej, sprzedała go za pieniądze jakiejś kobiecie napotkanej w jednym z pociągów podążających na wschód, na stacji znacznie oddalonej od Winnemucca. Kobieta owa zapewniała, że na wszelkie możliwe sposoby starała się odnaleźć krewnych chłopca, jednakże wysiłki jej spełzły na niczym; tak więc, będąc bezdzietną i wdową, sama go zaadoptowała. Na tym etapie drogi życiowej widmo sieroctwa nie zdawało się zagrażać małemu Jo; owa mnogość rodziców obiecywała mu długotrwałe uwolnienie się od niedogodności nieszczęsnej doli sieroczej.

Pani Damell, jego najnowsza matka, mieszkała w Cleveland, Ohio. Aliści jej adoptowany syn nie pozostał u niej długo. Pewnego popołudnia jakiś policjant, od niedawna pełniący służbę w tym rewirze, widział go, jak powoli oddalał się na niezdarnych nóżkach od jej domu, a zagadnawszy chłopczyka usłyszał odpowiedź, że „chcie do domu”. Musiał chyba podróżować koleją, gdyż w trzy dni później znalazł się w mieście Whiteville, które, jak wam wiadomo, leży spory szmat drogi od Blackburg. Ubranko chłopca było w całkiem przyzwoitym stanie, lecz on sam był niemiłosiernie umorusany. Ponieważ nie potrafił niczego o sobie



powiedzieć, zatrzymano go jako włóczęgę i skazano na zamknięcie w przytułku dla bezdomnych dzieci — gdzie go umyto.

Jo zbiegł z przytułku dla bezdomnych dzieci w Whiteville — po prostu uciekł pewnego dnia do lasu i od tamtej pory nie widziano go już w przytułku nigdy więcej.

Odnajdujemy go następnie, lub raczej wracamy doń, gdy stoi samotnie w zimnym jesiennym deszczu na rogu jednej z ulic przedmieścia Blackburg; nadszedł już czas, by wyjaśnić, że krople deszczu spadające na Jo nie były w istocie ani ciemne, ani kleiste, nie zdołały jedynie usunąć z jego twarzy i rąk lepkiego brudu. Chłopiec był doprawdy przerażająco i fantastycznie umazany, niczym ręką artysty. I ten opuszczony mały włóczęga nie miał butów, stopy jego były białe, czerwone i spuchnięte, a idąc utykał na obie nogi. Co się zaś tyczy ubrania — ach, z trudem jedynie można by było wymienić choć jedną część jego odzienia lub orzec, dzięki jakiej magicznej sile zdołał je na sobie utrzymać. To, że zimno przejmowało całe jego ciało do szpiku kości, nie ulegało najmniejszej wątpliwości; wiedział o tym sam. Każdy człowiek przemarzłby owego wieczoru; lecz z tej to właśnie przyczyny nikogo innego tam nie było. Jak to się stało, że Jo znalazł się w owym miejscu, on sam nie zdołałby powiedzieć nawet za cenę swego krótkiego, kołaczącego się w nim życia, nawet gdyby wyposażono go w słownictwo przekraczające sto słów. Ze sposobu, w jaki rozglądał się wokół siebie, można było odgadnąć, że nie ma on najmniejszego wyobrażenia o tym, gdzie (i dlaczego) się znajduje.

Jednakże nie był bynajmniej głuptaskiem jak na swój wiek. Czując zimno i głód i mogąc jeszcze iść uginając mocno kolana i stąpając na palcach, postanowił wejść do jednego z domów stojących po obu stronach ulicy w znacznych od siebie odległościach, a wyglądających tak jasno i ciepło. W chwili jednak, gdy usiłował wprowadzić w czyn swą wielce rozsądną decyzję, wyskoczyło na niego z ujadaniem wielkie psisko i zakwestionowało jego prawo do przekroczenia progu. Zdjęty niewymowną trwogą, sądząc niewątpliwie (nie bez słuszności zapewne), że brutalne zwierzę na podwórzu oznacza brutalność wewnątrz domu, pokuszył się dalej pozostawiając za sobą wszystkie domy i mając szare, mokre pola po prawicy, szare, mokre pola po lewicy — a deszcz nad głową, który go na pół oślepił. W nadchodzącej mgli i ciemnej nocy szedł trzymając się gościńca prowadzącego do Greenton. To znaczy, gościniec ów prowadzi do Greenton tych, którym uda się minąć cmentarz Oak Hill. Każdego roku znacznej liczbie wędrowców to się nie udaje.

Małemu Jo nie udało się.

Znaleziono go tam następnego ranka, przemoczonego i zziębniętego, lecz już nie głodnego. Najwidoczniej wszedł przez bramę cmentarną — w nadziei, być może, że wiedzie ona do domostwa, gdzie nie ma psa — i począł błąkać się w ciemnościach, przewracając się z pewnością o liczne mogiły póty, póki nie zmęczył się do cna i nie poniechał dalszych wysiłków. Drobne ciało leżało na boku z jednym umorusanym ziemią policzkiem na jednej umorusanej ziemią dłoni, z drugą ręką schowaną pod łachmanami, by ją ogrzać. Drugi policzek miał wymyty do czysta i wreszcie biały, jak gdyby przygotowany na przyjęcie pocałunku od jednego z wielkich aniołów Boga. Stwierdzono — choć podówczas nic jeszcze nie wiadano, albowiem ciało nie zostało od razu zidentyfikowane — że małeństwo leżało na grobie Hetty Parlow. Grób wszelako nie otwarł się, by go przyjąć. Jest to okoliczność wzbudzająca sprzeciw; można by pragnąć, nie uchybiając nikomu, by los zrządził inaczej.

# Nocne harce w Trupim Wąwozie

## Historia, która jest nieprawdziwa

Była to noc szczególnie mroźna i czysta jak serce diamentu. Przejrzyste noce często bywają przeraźliwie zimne. W ciemnościach, nawet gdy człowiekowi zimno, może on o tym nie wiedzieć, lecz gdy widzi, to cierpi. Owa noc była dostatecznie jasna, by kąsać niczym wąż. Księżyc płynął tajemniczo ponad olbrzymimi sosnami wieńczącymi Górę Południa, krzesząc zimne iskry na zlodowaciałym śniegu i uwydatniając na tle czarnego zachodniego nieba widmowe zarysy łańcucha Gór Przybrzeżnych, za którymi leżał niewidoczny Pacyfik. Śnieg nagromadził się na odkrytych przestrzeniach wzdłuż dna wąwozu w długie grzbiety, które zdały się falować, i w pagórki, które jak gdyby unosiły się i rozbryzgiwały pianę. Piana iskrzyła się niczym światło słoneczne podwójnie odbite raz od księżyca, raz od śniegu.

Śnieg zasypał wiele szałasów opuszczonego obozu poszukiwaczy złota (żeglarz powiedziałby, że je zatopił) i niesiony nieregularnymi podmuchami zakrywał wysokie przesła podpierające ongiś koryto kanału zwanego rzeką, albowiem używano łacińskiej nazwy „flumen”. Jednym z przywilejów, jakich góry nie mogą pozbawić poszukiwacza złota, jest przywilej posługiwania się łaciną. Mawia on o swym zmarłym sąsiedzie „Odszedł w górę »flumen«”. Nie jest to najgorszy sposób powiedzenia „Powrócił do źródła życia”.

Opancerzając się przeciw atakom wichury śnieg nie ominął żadnego wzniesienia. Śnieg gnany wiatrem jest nieomal jak wycofująca się armia. Na otwartym polu ustawia się w szeregi i bataliony; tam gdzie może zdobyć oparcie dla stóp, staje, gdzie znajduje kryjówkę, chowa się. Można ujrzyć całe jego plutony przycupnięte za odłamkiem zwalonego muru. Kręta stara droga wyrębana w zboczu góry pełna była śniegu. Szwadron za szwadronem usiłował umknąć tą dróżką, gdy nagle pościg ustał. Bardziej odludnego i posępnego miejsca niż Trupi Wąwóz o północy w zimie nie sposób sobie wyobrazić. A jednak pan Hiram Beeson postanowił tam zamieszkać jako samotny mieszkaniec wąwozu.

Tam w górze, na zboczu Północnej Góry, jego mały szałas z sosnowych bali wypuszczzał z jedynego okna długą, cienką wiązkę światła, a podobieństwo do czarnego żuka przypiętego do zbocza błyszcząca nową szpilką było uderzające. Wewnątrz siedział pan Beeson we własnej osobie, przed huczącym ogniem, wpatrując się w jego gorejące serce, jak gdyby nigdy przedtem, w całym swym życiu nie widział czegoś podobnego. Nie był on urodziwym człowiekiem; siwowłosa, obszarpany i niechlujny w ubiorze. Twarz miał wymizerowaną i wychudłą, oczy zbyt błyszczące. Co do wieku, to gdyby ktoś próbował go określić, mógłby powiedzieć czterdzieści siedem, a potem poprawić się i rzec siedemdziesiąt cztery. W rzeczywistości miał dwadzieścia osiem lat. Był wyniszczony do granic, jakich nie ośmielił się przekroczyć, mając na uwadze biedującego grabarza w Bentley's Flat i nowego, przedsiębiorczego koronera w Sonorze. Nędza i gorliwość są górnym i dolnym kamieniem młyńskim. Niebezpiecznie byłoby dostać się pomiędzy nie.

Gdy pan Beeson siedział tam w obszarpanej odzieży, z łokciami na kolanach, wychudłą twarz skrywając w wychudłych dłoniach, bez wyraźnego zamiaru położenia się do łóżka, sprawiał wrażenie, że rozpadnie się przy najlżejszym ruchu. A jednak w ciągu ostatniej godziny aż trzy razy mrugnął powiekami.

Rozległo się niecierpliwe pukanie do drzwi. Pukanie o tej porze nocy i w taką pogodę zdziwić by mogło zwykłego śmiertelnika, który mieszkał dwa lata w wąwozie nie oglądając ludzkiego oblicza i wiedział, że okolica jest niedostępna; lecz pan Beeson nawet nie oderwał wzroku od węgli. A nawet kiedy pchnięte drzwi stanęły otworem, skulił się jedynie nieco bardziej w sobie, jak ktoś, kto oczekuje czegoś, czego wolałby nie widzieć. Można zaobserwo-

wać ten odruch u kobiet w kaplicy cmentarnej w momencie, gdy trumna wnoszona jest naważa za ich plecami.

Lecz gdy wysoki starzec w płaszczu z koca, z głową owiazaną chustą i całą niemal twarzą ukrytą w szalu, w zielonych okularach ochronnych i o białej skórze przeblyskującej gdzieś niedzie, wkroczył milcząco do izby, kładąc ciężką dłoń w rękawicy na ramieniu pana Beesona, ten ostatni zapomniał się tak dalece, że podniósł oczy z wyrazem wielkiego zdziwienia; kogokolwiek mógł się on spodziewać, najwyraźniej nie liczył na spotkanie z kimś takim jak ten osobnik. Niemniej jednak widok owego niespodziewanego gościa wywołał w panu Beesonie następujące emocje w takiej oto kolejności: uczucie zdziwienia, zadowolenie, poryw szczerzej życzliwości. Podniósłszy się z miejsca ujął sękatą dłoń spoczywającą na jego ramieniu i począł nią potrząsać z żarliwością całkiem niepojętą, albowiem w powierzchowności starca nie było niczego pociągającego, wiele natomiast odpychającego. Jednakże powab jest zbyt nieokreśloną właściwością w porównaniu z odrazą i nie może istnieć bez niej. Najbardziej pociągającą rzeczą na świecie jest twarz ludzka, którą instynktownie ukrywamy za zasłoną. Gdy stanie się jeszcze bardziej pociągająca — fascynująca — sypimy na nią siedem stóp ziemi.

— Panie — rzekł pan Beeson puszcżając dłoń starca, która opadła bezwładnie uderżając o jego udo z cichym plaśnięciem — jest to nadzwyczaj nieprzyjemna noc. Proszę, niech pan usiądzie; wielcem rad, że pana widzę.

Pan Beeson mówił ze swobodą, jaką daje dobre wychowanie, czego trudno by się było po nim spodziewać, zważywszy wszystko. W rzeczy samej kontrast między jego powierzchownością a manierami był dostatecznie zaskakujący, by należeć do najpowszechniejszych zjawisk społecznych w kopalniach złota. Starzec zrobił krok w kierunku ognia, który odbił się głębokim blaskiem w jego zielonych okularach. Pan Beeson podjął:

— Jeszcze jak jestem rad!

Wytworność pana Beesona nie była zbyt wyszukana. Schlebiała w rozsądny sposób miejscowym gustom. Zamilkł na chwilę, wodząc wzrokiem od zakutanej szalem głowy swego gościa wzdłuż rzędu zniszczonych guzików spinających gruby płaszcz aż do zielonkawych wysokich butów ze skóry wołowej przyprószonych śniegiem, który zaczął topnieć i płynąć po podłodze małymi strużkami. Oszacował swego gościa i wyglądał na zadowolonego. Któż by nie był? Następnie ciągnął dalej:

— Uczta, jaką mogę panu zaoferować, odpowiada niestety mojemu otoczeniu; lecz czułbym się w najwyższym stopniu zaszczycony, gdyby zechciał pan w niej uczestniczyć i nie szukał niczego lepszego w Bentley's Flat.

Pan Beeson mówił z tak niezwykle wyrafinowaną i pełną gościnności pokorą, jak gdyby pobyt w jego ciepłej chatce w podobną noc, w porównaniu z cztemastomilowym spacerem po sżyję w śniegu o ostrej skorupie, był nie do zniesienia. Miast odpowiedzi jego gość rozpiął gruby płaszcz. Gospodarz podsycił nieco ogień, omiół palenisko wilczym ogonem i dodał:

— Ale j a myślę, że lepiej, aby pan zwiewał.

Starzec zajął miejsce przy ogniu i wyciągnął obute szerokie stopy w kierunku żaru nie zdejmując kapelusza. W kopalniach rzadko zdejmuje się kapelusz, chyba wówczas gdy zdejmuje się buty. Bez dalszych uwag pan Beeson również usadowił się na krześle, które ongiś było beczułką i które, zachowując wiele ze swego pierwotnego charakteru, zdawało się być przeznaczone do przechowywania jego prochów w wypadku, gdyby spodobało mu się rozpaść. Przez chwilę panowała cisza; wtem gdzieś spośród sosen dobiegł warkliwy skowyt kojota; i jednocześnie stuknęły drzwi. Nie było żadnego innego związku pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami prócz tego, że kojot czuje nieprzeparty wstręt do burz, a wiatr się wzmagal; jednakże istniała jakby pewna nadprzyrodzona tajemna więź pomiędzy nimi dwoma i pan Beeson wzdygnął się pod wpływem niejasnego uczucia grozy. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą i ponownie zwrócił się do gościa:

— Tu dzieją się dziwne rzeczy. Opowiem panu wszystko, a wówczas, jeśli postanowi pan odejść, mam nadzieję, że zdołam towarzyszyć panu przez najgorszą część drogi aż do miejsca, gdzie Baldy Peterson zastrzelił Bena Hike'a... chyba zna pan to miejsce.

Starzec skinął głową z całą stanowczością, jak gdyby dając do zrozumienia, że nie tylko zna to miejsce, lecz że zna je bardzo dobrze.

— Przed dwoma laty — zaczął pan Beeson — ja i dwaj moi towarzysze zajmowaliśmy ten dom; ale kiedy wybuchła gorączka złota w Flat, opuściliśmy to miejsce razem z całą resztą. W ciągu dziesięciu godzin Wąwóz opustoszał. Owego wieczoru jednakże spostrzegłem, że zapomniałem zabrać wartościowy pistolet (ten oto) i wróciłem po niego, spędzając tu noc samotnie, tak jak spędzam wszystkie noce od tamtej pory. Muszę wyjaśnić, że na kilka dni przed naszym stąd odejściem nasz służący, Chińczyk, miał nieszczęście umrzeć, właśnie wtedy, kiedy ziemia była tak zmarznięta i twarda, że niemożliwością było wykopać grób w zwykły sposób. Tak więc w dniu naszego pośpiesznego odjazdu przerażaliśmy podłogę, o tam, i sprawiliśmy mu taki pochówek, na jaki było nas stać. Lecz nim go tam spuściliśmy, dałem dowód na tyle złego gustu, że odciąłem mu warkoczek i przybiłem go do tej belki nad jego grobem, gdzie może go pan zobaczyć w tej chwili, lub raczej gdy rozgrzeje się pan na tyle, by mieć chęć go obejrzeć.

Zaznaczyłem, zdaje się, że Chińczyk umarł z przyczyn naturalnych? Nie miałem, oczywiście, nic z tym wspólnego i wróciłem nie pod wpływem nieprzepartej siły przyciągania bądź chorobliwego zafascynowania, lecz jedynie dlatego, że zapomniałem pistoletu. To jasne dla pana, nieprawdaż?

Gość skinął poważnie głową. Wyglądał na człowieka małowównego, jeśli w ogóle umiał mówić. Pan Beeson ciągnął dalej:

— Chińczycy wierzą, że człowiek jest niczym latawiec: nie może pójść do nieba bez warkocza. A więc, by skrócić tę nudną historię, którą jednakże uważam za swój obowiązek opowiedzieć — owej nocy, kiedy byłem tu sam i myślałem o wszystkim, tylko nie o nim, Chińczyk powrócił po swój warkoczek.

Nie dostał go.

W tym miejscu pan Beeson znowu pogрузzył się w ponurym milczeniu. Być może zmęczyło go mówienie, od którego odwykł; być może wywołał wspomnienie wymagające jego niepodzielnej uwagi. Wiatr oddalił się i zawodził wśród sosen na zboczu górskim z niezwykłą wyrazistością. Opowiadający ciągnął dalej:

— Myśli pan, że to nic szczególnego, i muszę wyznać, że i ja sam tak myślę. Ale on wciąż przychodzi!

Ponownie zapadło długie milczenie, podczas którego obaj wpatrywali się w ogień w całkowitym bezruchu. Wreszcie pan Beeson wybuchł nieomal gwałtownie, utkwivszy wzrok w tym, co mógł dojrzeć w niewzruszonym obliczu swego słuchacza:

— Dać mu go? Proszę pana, w tym względzie nie zamierzam sprawiać nikomu kłopotu prosząc o radę. Wybacz pan, jestem tego pewien — tu ton jego stał się niezwykle przekonujący — lecz ośmieliłem się przybić mocno ów warkoczek i wziętem na siebie ów nieco uciążliwy obowiązek strzeżenia go. Tak więc jest całkiem wykluczone, bym postąpił według pańskiej rozważnej propozycji.

Czy bierze mnie pan za *Modoca*? \*

Nic nie mogło przewyższyć nagłej dzikości, z jaką wrzasnął swemu gościowi prosto w ucho ów pełen oburzenia protest. Tak jakby zadał mu cios w głowę stalową rękawicą. Był to nie tylko protest, lecz również wyzwanie. Być mylnie wziętym za tchórza — być wziętym za *Modoca*: oba te określenia są jednym i tym samym. Czasem jest to Chińczyk. „Czy bierzesz

\* *Modoc* — jedna z wielu małych kukiełek ustawianych w namiotach podczas karnawału, do których rzuca się pięczką palantową, by je obalić; stąd słowo *modoc* ma obraźliwe znaczenie i oznacza głupca, frajera, tchórza (przyp. tłum.).

mnie za Chińczyka?” Oto pytanie często kierowane do zmarłego nagłą śmiercią.

Cios pana Beesona nie wywołał żadnego wrażenia i po krótkiej przerwie, podczas której wiatr uderzał w komin niczym grudy ziemi o wieko trumny, gospodarz podjął na nowo:

— Lecz tak jak pan mówi, to mnie wyczerpuje. Czuję, że życie w ciągu ostatnich dwóch lat było błędem — błędem, który sam się naprawi, wie pan jak. Grób! Nie; nie ma nikogo, kto by go wykopał. Ziemia jest przecież zmarznięta. Ale pan jest bardzo mile widziany. Może pan powiedzieć w Bentley's... choć to nie jest ważne. Bardzo trudno było go odciąć, oni wplatają jedwab w warkocze. Chrrr.

Pan Beeson mówił z zamkniętymi oczyma i myśli mu się plątały. Jego ostatnie słowo było chrapnięciem. Po chwili głęboko odetchnął, otworzył z wysiłkiem oczy, zrobił jeszcze jedną uwagę i zapadł w mocny sen.

A oto co powiedział:

— Wykradają moje prochy!

Wówczas leciwy незнаjomy, który nie wypowiedział ani słowa od chwili swego przybycia, wstał z miejsca i nieśpiesznie zdjął wierzchnie odzienie, a wyglądał w samej tylko bieliznie tak kanciasto jak nieboszczka signorina Festorazzi, Irlandka, o wzroście sześciu stóp i wadze pięćdziesięciu sześciu funtów, która miała zwyczaj ukazywać się mieszkańcom San Francisco w koszuli. Następnie wgramolił się na jedną z „prycz”, umieściwszy uprzednio rewolwer w zasięgu ręki, zgodnie ze zwyczajem panującym w owym kraju. Rewolwer ten wziął z półki, a był to ten sam, po który pan Beeson wrócił do Wąwozu przed dwoma laty, jak sam o tym wspomniał.

Niebawem pan Beeson obudził się i widząc, że jego gość udał się na spoczynek, zrobił to samo. Jednakże nim to uczynił, podszedł do długiego, splecionego kosmyka pogańskich włosów i szarpnął go silnie, by sprawdzić, czy trzyma się mocno. Dwa łóżka — zwyczajne półki zasłane kocami nie nadzwyczajnej czystości — stały naprzeciw siebie pod przeciwległymi ścianami pokoju, mając pomiędzy sobą małe kwadratowe drzwiczki zapadowe prowadzące do grobu Chińczyka. Nawiasem mówiąc, podwójny rząd główek gwoździ przecinał klapę w poprzek. Opierając się siłom nadprzyrodzonym pan Beeson nie pogardził użyciem materialnych środków ostrożności.

Ogień przygasał, blade płomyki tańczyły chybotliwie rozbłyskując od czasu do czasu i rzucając upiorne cienie na ściany — cienie, które sunęły tajemniczo w dół już to rozdzielając się, już to łącząc. Cień zwisającego warkocza trzymał się jednak markotnie osobno przy pułapie w odległym kącie izby, kształtem przypominając wykrzyknik. Pieśń sosen na zewnątrz urosła teraz do rangi hymnu tryumfalnego. W przerwach panowała przerażająca cisza.

Podczas jednej z takich chwil ciszy kłapa w podłodze zaczęła się unosić. Wolno i równomiernie się unosiła i wolno i równomiernie unosiła się owiązana głowa starca na łóżku, by to ujrzeć. Wówczas z hukiem, który wstrząsnął domem aż do fundamentów, kłapa opadła na powrót i tak pozostała ze szkaradnymi gwoździami wystającymi złowieszczo. Pan Beeson obudził się i nie wstając przycisnął palce do oczu. Zadrżał, szczęknął zębami. Jego gość, wsparty teraz na łokciu, przyglądał się owym poczynaniom przez okulary jarzące się niczym lampki.

Nagle gwałtowny podmuch wiatru, wyjął, uderzył w komin rozdmuchując popiół i sadzę na wszystkie strony, przesłaniając wszystko przez chwilę. Kiedy blask ognia ponownie oświetlił izbę, ukazał się siedzący ostrożnie na krawędzi stołka przy palenisku smagły mały człowieczek o ujmującym wyglądzie, odziany z nienagannym gustem i kiwający głową do starca z przyjaznym i zachęcającym uśmiechem. „Z San Francisco widocznie”, pomyślał pan Beeson, który otrząsnąwszy się nieco ze strachu, jął szukać klucza do tajemnicy wypadków owego wieczoru.

Lecz oto inny aktor ukazał się na scenie. Z kwadratowego czarnego otworu pośrodku podłogi wysunęła się głowa zmarłego Chińczyka, jego szklane oczy w skośnych szparkach,

zwrócone w górę, spoczęły na dyndającym ponad nim warkocz z wyrazem niewymownej tęsknoty. Pan Beeson jęknął i ponownie zakrył rękoma twarz. Łagodny zapach opium napełnił izbę. Zjawa przyodziana jedynie w krótką, błękitną tunikę, pikowaną i jedwabistą, lecz pokrytą mogilną pleśnią, podnosiła się wolno, jak gdyby popychana słabą spiralną sprężyną. Gdy jej kolana zrównały się z poziomem podłogi, zjawa szybkim susem, niczym bezgłośnie wystrzelony w górę płomień, chwyciła warkocz oburącz, podciągnęła całe ciało i chwyciła koniuszek warkocza straszliwymi, żółkłymi zębami. Uczepiona kurczowo w widocznym szaleństwie, upiornie się wykrzywiając, szarpiąc i ciągnąc bez pamięci na wszystkie strony, usiłowała oderwać swą własność od belki, lecz nie wydała żadnego dźwięku. Była jak trup sztucznie poruszany za pomocą galwanicznej baterii. Kontrast pomiędzy jej nadludzką ruchliwością a milczeniem był prawdziwie odrażający!

Pan Beeson skulił się w łóżku. Śniady mały jegomość rozstawił nogi, wybił niecierpliwie czubkiem buta kilka taktów i spojrzął na ciężki, złoty zegarek. Starzec usiadł wyprostowany na łóżku i spokojnie wziął do ręki rewolwer.

Ba-bach!

Jak ciało odcięte od szubienicy, Chińczyk spadł w czarny otwór poniżej, trzymając warkocz w zębach. Śniady mały człowieczek z San Francisco zeskoczył lekko ze swego miejsca, chwycił coś z powietrza do kapelusza, tak jak chłopiec łapie motyla, i zniknął w kominie, jak gdyby wciągnięty ssącą pompą.

Gdzieś z daleka, z ciemności na zewnątrz dobiegł przez otwarte drzwi słaby, odległy płacz — dalekie łkające kwilenie niczym kwilenie dziecka duszonego na pustyni bądź lament zbłąkanej duszy zdobytej przez Przeciwnika.

Mogło to być wycie kojota.

W pierwszych dniach wiosny grupa poszukiwaczy złota przechodziła w drodze ku nowym terenom złotonośnym przez Wąwóz i przetrząsając opuszczone chaty znalazła w jednej z nich ciało Hiram Beesona wyciągnięte na pryczy, z dziurą od kuli w sercu. Najwyraźniej kula została wystrzelona z przeciwnej strony izby, albowiem w jednej z dębowych belek powyżej widniał płytki, siny ślad w miejscu, gdzie kula uderzyła w węzeł i odbiła się w dół skręcając do piersi swej ofiary. Mocno przytwierdzone do tejże belki wisiało coś, co przypominało koniec powroza z plecionego włosia końskiego, który został odcięty kulą, nim dosięgła węzła. Nie spostrzeżono już niczego więcej godnego uwagi, z wyjątkiem kupki zapleśniałych i dziwaczkich ubrań; poszczególne ich części zostały później rozpoznane przez godnych zaufania świadków jako odzież, w której pochowano przed laty zmarłych mieszkańców Trupiego Wąwozu. Jednakże niełatwo zrozumieć, jak to być mogło, chyba że naprawdę szaty owe nosiła jako przebranie sama śmierć — w co trudno uwierzyć.

## Za ścianą

Przed wielu laty spędziłam tydzień w San Francisco w drodze z Hong-kongu do Nowego Jorku. Sporo czasu minęło od mej ostatniej bytności w tym mieście. W owym okresie rozwój moich interesów na Wschodzie przeszedł wszelkie oczekiwania; byłem bogaty i mogłem sobie pozwolić na odwiedzenie mej ojczyzny, by odnowić przyjaźń z tymi spośród towarzyszy młodości, którzy jeszcze żyli i zachowali mnie w swej serdecznej pamięci. Najważniejszym z nich, jak się spodziewałem, był Mohun Dampier, dawny kolega szkolny; niegdyś prowadziłem z nim nieregularną korespondencję, która dawno już się urwała, jak to bywa z korespondencją między ludźmi. Zapewne zauważyliście, że niechęć do pisania czysto towarzy-

skich listów stoi w stosunku wprost proporcjonalnym do odległości dzielącej was od waszego korespondenta. Takie jest prawo.

Pamiętałem Dampiera jako przystojnego, silnego młodzieńca odznaczającego się zamiłowaniem do wiedzy, awersją do pracy i wyraźną obojętnością dla wielu rzeczy, o które zabiega świat, z majątkiem włącznie; tego ostatniego odziedziczył wystarczająco dużo, by nie odczuwać niedostatku. W jego rodzinie, jednej z najstarszych i najbardziej arystokratycznych w kraju, powodem dumy rodowej, jak przypuszczam, było to, że żaden z jej członków nigdy nie parął się handlem ani polityką i nigdy niczym się nie wyróżnił. Mohun był odrobinę sentymentalny i w szczególny sposób przesądny, co pchnęło go do studiów nad różnego rodzaju tematami okultystycznymi, lecz jego dobre zdrowie psychiczne ochroniło go przed fantastycznymi i niebezpiecznymi wierzeniami. Czynił śmiałe wypadki w sferę fantastyki, nie rezygnując jednak z częściowo zbadanej i opisanej dziedziny, którą lubimy nazywać pewnością.

Złożyłem mu wizytę w burzliwy wieczór. Kalifornijska zima była w pełni i nieustanny deszcz chłupotał na opustoszałych ulicach lub, unoszony przez nieregularne poddmuchy wiatru, walił w ściany domów z niewiarygodną furją. Z niemałym trudem dorożkarz znalazł właściwe miejsce — nieco za miastem, w kierunku brzegu oceanu, na z rzadka zaludnionym przedmieściu. Niezaprzeczenie brzydka kamienica stała pośrodku posesji, która, o ile mogłem stwierdzić w mroku, pozbawiona była zarówno kwiatów, jak trawy. Trzy lub cztery drzewa skręcające się na wszystkie strony i jęczące w katuszach burzy wyglądały, jak gdyby próbowały uciec ze swego ponurego otoczenia i znaleźć lepsze miejsce nad morzem. Dom ów był dwupiętrowym budynkiem z cegły z wieżyczką wyższą o piętro w jednym z narożników. Jedyne widoczne światło padało z okienka wieży. Coś w wyglądzie tego miejsca sprawiło, że zadrżałem, być może przyczyniła się do tego strużka wody deszczowej, która spływała mi po plecach, gdy biegłem, by schronić się w drzwiach.

W odpowiedzi na mój bilet, w którym zawiadaniałem przyjaciela o pragnieniu odwiedzenia go, Dampier napisał: „Nie dzwoń — otwórz drzwi i wejdź na górę”. Tak też zrobiłem. Na klatkę schodową padało mdłe światło z jedynej lampy gazowej na szczycie drugiej kondygnacji. Udało mi się dotrzeć do podestu bez szwanku, po czym wszedłem przez otwarte drzwi do oświetlonego kwadratowego pokoju w wieży. Dampier ruszył na moje spotkanie w szlafroku i rannych pantoflach, witając mnie tak, jak tego pragnąłem, i gdybym przez chwilę pomyślał, iż wypadaloby raczej, by zgotował mi owo powitanie przy drzwiach frontowych, pierwszy już rzut oka na jego osobę byłby rozproszył jakiekolwiek wrażenie braku gościnności z jego strony.

Nie był już tym samym człowiekiem. Przekroczywszy zaledwie wiek średni osiwiął i wyraźnie się przygarbił. Postać jego była szczupła i kanciasta, twarz poryta głębokimi bruzdami, cera trupio biała, bez śladu rumieńca. Nienaturalnie wielkie oczy lśniły niesamowitym niemal blaskiem.

Poprosił, bym usiadł, poczęstował cygarem i poważnie oraz niewątpliwie szczerze zapewnił mnie o swej radości z naszego spotkania. Nastąpiła zdawkowa rozmowa, lecz przez cały ten czas miałem smutną świadomość wielkiej zmiany, jaka w nim zaszła. Musiał to spostrzec, gdyż rzekł nagle z dość pogodnym uśmiechem:

— Rozczarowałem cię — *non sum qualis eram*.

Nie bardzo wiedziałem, co na to odpowiedzieć, lecz zdołałem rzec:

— Cóż, doprawdy, nie wiem: twoja łacina jest prawie taka sama jak dawniej.

Rozpogodził się znów.

— Nie — odparł — ponieważ jest to język martwy, staje się stosowny w tej chwili. Proszę cię jednak, byś cierpliwie poczekał: tam gdzie się udaję, istnieje być może lepszy język. Czy chciałbyś otrzymać list w tym języku?

Gdy wypowiadał te słowa, uśmiech znikł z jego twarzy, a kiedy zamilkł, spojrział mi prosto w oczy z powagą, która mnie przerażyła. Nie chciałem jednakże poddać się jego nastro-

jowi ani dopuścić, by spostrzegł, jak głęboko poruszyło mnie jego przecucie śmierci.

— Przypuszczam, że upłynie dużo czasu — rzekłem — nim mowa ludzka przestanie służyć naszym potrzebom, a wówczas potrzeba przeminie wraz z możliwością wyświadczenia usługi.

Nie odpowiedział; ja również zamilkłem, rozmowa bowiem przyjęła przygnębiający obrót, a nie wiedziałem, jak nadać jej przyjemniejszy charakter. Nagle, gdy burza chwilowo ucichła i zaległa śmiertelna cisza, nieomal przerażająca przez kontrast z poprzednią wrzawą, usłyszałem delikatne pukanie, które zdawało się dochodzić od ściany za moim krzesłem. Można było sądzić, że ktoś stuka ręką, lecz nie wyglądało to na pukanie do drzwi z prośbą o pozwolenie wejścia, raczej, myślałem, na umówiony znak, zapewnienie o czyjejś obecności w sąsiednim pokoju. Większość z nas, jak mniemam, ma więcej doświadczenia w podobnym sposobie porozumiewania się, niż chciałaby do tego się przyznać. Spojrzałem na Dampiera. Jeśli nawet była jakaś iskierka rozbawienia w moim wzroku, nie zauważył tego. Sprawiał wrażenie, że zapomniał o mojej obecności, i wpatrywał się w ścianę za moimi plecami z wyrazem w oczach, którego nie jestem w stanie określić, choć do dziś dnia zachowałem o tym wydarzeniu żywe wspomnienie. Sytuacja stawała się krępująca: wstałem, by się pożegnać. Wówczas jak gdyby otrząsnął się.

— Proszę, pozostań — powiedział — to nic... nikogo tam nie ma.

Pukanie powtórzyło się jednak z tą samą łagodną, powolną natarczywością co poprzednio.

— Wybacz mi — rzekłem — jest późno. Czy mogę przyjść jutro?

Uśmiechnął się — nieco machinalnie, powiedziałbym.

— To wielka delikatność z twojej strony — rzekł — lecz całkiem niepotrzebna. To jest naprawdę jedyny pokój w tej wieży i nikogo tam nie ma. Przynajmniej... — nie dokończył zdania, wstał i otworzył okno, jedyny otwór w ścianie, z której odgłos zdawał się dochodzić — spójrz.

Nie bardzo wiedząc, co mógłbym uczynić innego, podszedłem za nim do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Uliczna lampa w niewielkiej od nas odległości dawała dość światła poprzez mrok i deszcz padający znów strumieniami, by nie pozostawić nam żadnej wątpliwości, iż „nikogo tam nie ma” W istocie, nie było tam niczego prócz prostopadłego, ślepego muru wieży.

Dampier zamknął okno i odprowadziwszy mnie na miejsce usiadł również.

Incydent ów nie był sam w sobie specjalnie tajemniczy; można to było wyjaśnić sobie na tuzin sposobów, z których każdy był do przyjęcia (choć żaden nie przychodził mi wówczas do głowy), a jednak wywarł na mnie dziwne wrażenie, spotęgowane prawdopodobnie wysiłkami mego przyjaciela, by mnie uspokoić, co dodawało całemu zajściu pewnego znaczenia i powagi. Udowodnił mi, że nikogo tam nie było, lecz na tym skończyło się jego zainteresowanie; nie udzielił mi żadnych wyjaśnień. Jego milczenie było irytujące i poczułem się dotknięty.

— Mój drogi przyjacielu — rzekłem cokolwiek ironicznie, jak mi się zdaje — nie jestem skłonny kwestionować twego prawa do przyjmowania takiej liczby duchów, na jaką masz ochotę i jaka odpowiada twym pojęciom o życiu towarzyskim; to nie moja sprawa. Lecz będąc zwykłym człowiekiem interesu, głównie z tego świata, uważam, że duchy nie są potrzebne dla mego spokoju i dobrego samopoczucia. Wracam do hotelu, gdzie moi współtowarzysze nadal znajdują się w cielesnej powłoce.

Nie były to zbyt uprzejme słowa, lecz Dampier nie dał po sobie niczego poznać.

— Proszę cię, zostań — odparł — jestem ci wdzięczny za twą tutaj obecność. Wydaje mi się, że to co dziś wieczór usłyszałeś, ja sam słyszałem już dwukrotnie przedtem. Teraz w i e m, że nie było to złudzenie. To wiele dla mnie znaczy... więcej, niż myślisz. Proszę, weź cygaro i uzbrój się w cierpliwość, a ja opowiem ci tę historię.



Deszcz padał teraz równomierniej z cichym, monotonnym szumem przerywanym od czasu do czasu nagłym trzaskiem gałęzi drzew w porywach wiatru. Była już późna noc, lecz zarówno moje współczucie, jak i ciekawość sprawiły, że chętnie słuchałem monologu przyjaciela i nie przerwałem mu ani jednym słowem od początku do końca.

— Przed dziesięciu laty — rzekł — zajmowałem parterowe mieszkanie w jednym z całego szeregu jednakowych domów daleko na drugim krańcu miasta, w dzielnicy zwanej Rincon Hill. Była to najlepsza dzielnica San Francisco, lecz wskutek zaniedbania uległa zniszczeniu, częściowo z przyczyny prymitywnego charakteru jej lokalnej architektury, nie odpowiadającej już wyrobionym gustom naszych zamożnych obywateli, częściowo zaś dlatego, że pewne publiczne dobrodziejstwa obróciły ją w ruinę. Rząd domów, w jednym z których mieszkałem, stał nieco cofnięty w głąb ulicy, przy każdym zaś domostwie znajdował się miniaturowy ogródek, odgradzony od sąsiadów niskimi żelaznymi sztachetami i przedzielony z matematyczną dokładnością żwirowaną ścieżką wysadzoną bukszpanem i biegnącą od furtki ku drzwiom wejściowym.

Pewnego dnia, wychodząc rano z domu, spostrzegłem młodą dziewczynę, która wchodziła do sąsiedniego ogródka po lewej stronie. Był ciepły czerwcowy dzień i dziewczyna miała na sobie lekką białą suknię. Z ramion zwisał jej szeroki słomiany kapelusz bogato zdobiony kwiatami i wstążkami według ówczesnej mody. Urocza prostota jej stroju nie zdołała zbyt długo zatrzymać mej uwagi, albowiem nikt nie mógłby, spoglądając na jej twarz, myśleć o sprawach ziemskich. Nie obawiaj się: nie sprofanuję jej żadnym opisem: była nadzwyczaj piękna. Nigdy, ani na jawie, ani w marzeniu, nie widziałem takiej urody, jaką odznaczał się ten niezrównany żywy obraz stworzony ręką Boskiego Artysty.

Tak głęboko wzruszył mnie ów widok, że nie myśląc wcale o niewłaściwości mego uczynku, bezwiednie zdjąłem nakrycie głowy, jak czyni to gorliwy katolik lub dobrze wychowany protestant przed obrazem Matki Boskiej. Dziewczyna nie okazała niezadowolenia; zwróciła jedynie swe wspaniałe ciemne oczy na moją osobę z takim spojrzeniem, że wstrzymałem oddech, po czym nie dawszy mi niczym więcej do zrozumienia, że zauważyła mój gest, weszła do domu. Stałem chwilę bez ruchu, z kapeluszem w ręku, z przykrą świadomością własnej niegrzeczności, owładnięty jednak takim wzruszeniem wzbudzonym ową wizją niezrównanej piękności, że moja skrucha okazała się mniej głęboka, niż powinna być. Po chwili ruszyłem w dalszą drogę, pozostawiając serce za sobą. Normalną koleją rzeczy zabawiłbym prawdopodobnie poza domem aż do zmroku, tym razem jednak już wczesnym popołudniem znajdowałem się z powrotem w małym ogródku, udając zainteresowanie kilkoma nędznymi kwiatami, których nigdy przedtem nie dostrzegałem. Próżna była moja nadzieja, dziewczyna nie ukazała się.

Po niespokojnej nocy nastąpił dzień pełen oczekiwania i rozczarowania, lecz nazajutrz, gdy wałęsałem się bez celu w sąsiedztwie, spotkałem ją. Oczywiście nie powtórzyłem szaleńczego gestu odkrycia głowy ani nawet nie odważyłem się na zbyt długie spojrzenie, które zdradziłoby moje zainteresowanie jej osobą; serce biło mi jednak głośno. Zadrżałem i zdałem sobie sprawę, że się czerwienię, gdy zwróciła na mnie swe wielkie czarne oczy, z których wyraźnie wyczytałem, że mnie poznaje, wyraz ich jednak całkowicie pozbawiony był zachwycenia czy kokieterii.

Nie będę nudził cię szczegółami; później jeszcze wiele razy spotykałem ową dziewczynę, nigdy jednak do niej nie przemówiłem ani nie próbowałem zwrócić na siebie jej uwagi. Również nie podejmowałem żadnych kroków, by zawrzeć z nią znajomość. Być może moja rezygnacja, wymagająca tak wielkiego wysiłku i samozaparcia, nie będzie dla ciebie całkowicie zrozumiała. Prawdą jest, że byłem po uszy zakochany, któż jednak zwalczyć może nawyk myślenia lub zmienić swój charakter?

Jestem, jak niektórzy głupi ludzie lubią to nazywać, a inni, jeszcze głupszy, lubią być nazywani — arystokratą: a mimo jej urody, powabu i wdzięków, dziewczyna nie pochodziła z

mojej sfery. Dowiedziałem się, jak się nazywa, o czym nie warto wspominać — oraz zebrałem nieco informacji o jej rodzinie. Była sierotą na utrzymaniu ciotki, starszej, niemożliwie grubej kobiety, w której domu mieszkała. Moje dochody były niewielkie i nie miałem skłonności do żeniaczki: być może jest to dar niebios. Związek z ową rodziną skazałby mnie na jej sposób życia, pozbawiłby mnie moich książek i studiów i w sensie społecznym zdegradował. Łatwo jest potępiać tego rodzaju względy i nie próbuję się bronić. Niechaj wyrok będzie wydany przeciwko mnie, lecz dla czystej sprawiedliwości wszyscy moi przodkowie od wielu pokoleń winni zostać współpозwanymi, i niechaj wolno mi będzie przytoczyć na swą obronę, dla złagodzenia kary, władcze prawo dziedzictwa. Na myśl o podobnym mezaliansie burzyła się we mnie każda kropla odziedziczonej po przodkach krwi. Krótko mówiąc, moje gusty, przyzwyczajenia, instynkt, resztki rozsądku, jakie pozostawiła mi miłość — wszystko to walczyło przeciwko niej. Poza tym byłem bezspornie człowiekiem sentymentalnym i znajdowałem subtelny urok w bezosobowym i duchowym stosunku, który znajomość z dziewczyną mogłaby zwulgaryzować, a małżeństwo z pewnością by zniszczyło. Nie ma takiej kobiety, przekonywałem samego siebie, na jaką wygląda to uroczne stworzenie. Miłość jest cudownym snem; dlaczegóż bym miał spowodować swe własne przebudzenie?

Linia postępowania podyktowana tym rozumowaniem i uczuciem była oczywista. Honor, duma, ostrożność, chęć zachowania ideałów — wszystko to nakazywało mi wyjechać, lecz na to byłem za słaby. Jedyne, co mogłem uczynić olbrzymim wysiłkiem woli, to przestać spotykać dziewczynę, co też zrobiłem. Unikałem nawet przypadkowych spotkań w ogródku, wychodząc z domu jedynie wówczas, gdy wiedziałem, że udała się na lekcje muzyki, i wracając po zapadnięciu zmroku. A jednak przez cały ten czas żyłem jak w transie, pozwalając sobie na najbardziej urzekające fantazje i regulując całe moje życie intelektualne podług moich marzeń. Ach, mój przyjacielu, jako człowiek, którego czyny są wyraźnie związane z rozumem, nie jesteś w stanie pojąć, czym był ów raj głupca, w którym żyłem.

Pewnego wieczoru diabeł podkusił mnie, bym zrobił z siebie niewymownego idiota. Drogą pozornie beztroskiej i pozbawionej specjalnego celu indagacji dowiedziałem się od mojej lubiącej plotki gospodyni, że sypialnia młodej kobiety przylega do mojej, będąc od niej oddzielona jedynie wspólną ścianą. Ulegając nagłemu i grubiańskiemu impulsowi delikatnie zastukałem w ścianę. Oczywiście nie było żadnego odzewu, lecz nastrój, w jakim się znajdowałem, nie pozwolił mi pogodzić się z porażką. Ogarnęło mnie jakieś szaleństwo i po raz drugi zachowałem się równie głupio i obraźliwie, lecz i tym razem bezskutecznie; znalazłem w sobie na tyle przyzwoitości, by dać za wygraną.

W godzinę później, gdy siedziałem pogrążony w mych piekielnych studiach, usłyszałem, lub myślałem, że słyszę, odpowiedź na mój znak. Rzuciwszy książki na ziemię, przyskoczyłem do ściany i na tyle spokojnie, na ile pozwoliło mi mocno bijące serce, zastukałem wolno trzy razy. Tym razem odpowiedź była wyraźna, nie budząca wątpliwości: raz, dwa, trzy — dokładne powtórzenie mojego sygnału. Było to wszystko, co mogłem osiągnąć, lecz było to dosyć — zbyt dużo.

Następnego wieczoru i wiele jeszcze wieczorów następnych owo szaleństwo powtarzało się, a ja miałem zawsze „ostatnie słowo”. Przez cały ów okres czasu czułem się nieprzytomnie szczęśliwy, lecz z całą perwersją mej natury wytrwałem w postanowieniu niewidywania dziewczyny. Wreszcie, jak powinienem był się tego spodziewać, przestałem otrzymywać odpowiedzi. — Jest rozczarowana — powiedziałem sobie — moją nieśmiałością, która nie pozwala mi na wyraźniejsze awanse. Postanowiłem poszukać jej i zawrzeć z nią znajomość, i... co dalej? Nie wiedziałem wówczas, ani nie wiem obecnie, co mogłoby z tego wyniknąć. Wiem tylko, że spędzałem całe dni na staraniach, by ją spotkać, lecz wszystko na próżno: stała się niewidzialna, jak również niesłyszalna. Snułem się po ulicach, gdzie spotykaliśmy się, lecz ona nie przychodziła. Z mego okna obserwowałem ogród przed jej domem, lecz ani razu nie weszła doń ani zeń nie wyszła. Popadłem w najgłębsze przygnębienie, sądząc, że

dziewczyna wyjechała, nie podjąłem jednak żadnych kroków, by rozstrzygnąć moje wątpliwości, i nie zadawałem żadnych pytań mej gospodyni, do której poczułem nieprzewyciężoną niechęć, pewnego razu bowiem wyraziła się o dziewczynie z mniejszym szacunkiem, niż uważałem za stosowne.

Nadeszła fatalna noc. Zmęczony przeżyciami, niezdecydowaniem i zwątpieniem, wcześniej się położyłem i zasnąłem na tyle, na ile było to jeszcze dla mnie możliwe. W środku nocy coś — jakaś złośliwa moc, która zniszczyła na zawsze mój spokój — kazała mi otworzyć oczy i usiąść; całkowicie rozbudzony, wytężyłem słuch nie wiedząc po co. Po chwili wydało mi się, że słyszę ciche pukanie w ścianę — cień zaledwie dobrze mi znanego sygnału. Wkrótce pukanie powtórzyło się: raz, dwa, trzy — nie głośniejsze niż poprzednio, lecz domagające się jak gdyby gwałtownie i usilnie, by je usłyszano. Miałem właśnie odpowiedzieć, gdy Wróg Spokoju ponownie wmieszał się w moje sprawy, w szelmowski sposób podsuwając mi myśl o zemście. Długo i okrutnie dziewczyna ignorowała mnie; teraz ja ją zignoruję. Niewiarygodna głupota — oby Bóg mi ją wybaczył! Resztę nocy przeleżałem bezsennie, bezwstydnymi usprawiedliwieniami umacniając się w swym uporze... i nasłuchując.

Późnym rankiem następnego dnia wychodząc z domu spotkałem moją gospodynię, która właśnie skądś wracała.

— Dzień dobry, panie Dampier — powiedziała — czy słyszał pan nowiny?

Odpowiedziałem, że nie słyszałem, tonem dającym do zrozumienia, że wcale mi nie zależy na tym, by je usłyszeć. Ton ten uszedł jej uwagi.

— O chorej młodej pani przez ścianę — paplała dalej. — Co! Pan nie wiedział? Cóż, chorowała długie tygodnie. A teraz...

Nieledwie rzuciłem się na nią.

— A teraz — krzyknąłem — co teraz?

— Nie żyje.

Nie jest to jeszcze cała historia. Jak dowiedziałem się później, chora, ocknąwszy się w środku nocy z długiego odrętwienia po tygodniu majaczenia, poprosiła — to były jej ostatnie słowa — by przesunięto jej łóżko pod przeciwległą ścianę pokoju. Ci, którzy ją pielęgowali, uznali prośbę za bredzenie w malignie, spełnili jednak jej życzenie. Wówczas biedna odchodząca dusza wytężyła całą swą słabnącą wolę nawiązania przerwane porozumienia — złotej nici między niewinnością uczuć a potworną nikczemnością uznającą jedynie ślepe, brutalne posłuszeństwo Prawu w Służbie Własnej Osoby.

Jakież mogłem dać zadośćuczynienie? Czyż istnieją nabożeństwa, które można by odprawić za spokój dusz wędrujących w taką noc jak dzisiejsza — duchów rozproszonych na wsze strony przez niewidzialne wichry — przychodzących w burzy i ciemności, niosących znaki i ponure zapowiedzi, ślady pamięci i przepowiednie losu?

To jest trzecie nawiedzenie. Przy pierwszym byłem zbyt sceptyczny, by uczynić coś więcej, niż sprawdzić naturalnymi sposobami charakter incydentu; za drugim razem odpowiedziałem na sygnał, gdy został kilkakrotnie powtórzony; lecz bez skutku. Powtórzenie się zjawiska dzisiejszego wieczoru zamyka „śmiertelną triadę” objaśnioną przez Parapeliusza Nekromancjusza. Nie pozostało mi już nic więcej do powiedzenia.

Gdy Dampier skończył swą opowieść, nie potrafiłem wymyślić niczego stosownego, co chciałem mu powiedzieć, a wypytywanie go byłoby obrzydliwą impertynencją. Wstałem i życzyłem mu dobrej nocy w sposób, który miał mu wyrazić moje współczucie, co przyjął w milczeniu uściskiem dłoni. Też same nocy, sam ze swym smutkiem i wyrzutami sumienia, przekroczył granice Nieznanego.

## Psychologia pewnej katastrofy

Lato 1874 roku zastało mnie w Liverpoolu, dokąd udałem się w interesach domu handlowego Bronson and Jarrett z Nowego Jorku. Ja jestem William Jarrett; moim współnikiem był Zenas Bronson. Firma nasza zbankrutowała przeszłego roku, a Bronson, nie mogąc znieść przeskoku od bogactwa do ubóstwa, zmarł.

Zakończywszy interesy, a czując znużenie i wyczerpanie na skutek szybkiego tempa załatwienia spraw, pomyślałem sobie, że dłuższa podróż morska byłaby tyleż przyjemna, co korzystna, tak więc miast zaokrętować się celem odbycia drogi powrotnej na jednym z wielu wspaniałych parowców pasażerskich, zarezerwowałem miejsce do Nowego Jorku na żaglowcu „Przyszłość”, na który kazałem załadować całą masę cennych towarów, jakie nabyłem. „Przyszłość” była angielskim żaglowcem, oczywiście z paroma jedynie kabinami dla pasażerów, a byliśmy nimi tylko ja i pewna młoda dama, oraz jej służąca, Murzynka w średnim wieku. Fakt, że angielska dziewczyna podróżuje w podobnym towarzystwie, uważałem za dość osobliwy, lecz później wyjaśniła mi ona, że kobietę tę pozostawiło w jej rodzinie pewne małżeństwo z Południowej Karoliny, które zmarło jednego dnia w domu ojca młodej damy w Devonshire — wydarzenie samo w sobie wystarczająco niezwykle, by wryć mi się w pamięć, nawet gdyby w późniejszej rozmowie z młodą dziewczyną nie wyszło na jaw, iż nazwisko owego człowieka brzmiało William Jarrett, tak samo jak moje. Wiedziałem, że jakaś gałąź mej rodziny osiadła w Południowej Karolinie, lecz nie znałem tych krewnych ani ich dziejów.

„Przyszłość” wypłynęła z ujścia Mersey 15 czerwca i przez kilka tygodni mieliśmy lekki wietrzyk i bezchmurne niebo. Kapitan, wspaniały żeglarz, lecz nic poza tym, nie obdarzał nas zbyt hojnie swym towarzystwem, nie licząc wspólnych posiłków przy jego stole; tak więc młoda kobieta, panna Janette Harford, i ja zawarliśmy bliższą znajomość. Przebywaliśmy razem, prawdę mówiąc, nieomal cały czas, a co do mnie, to mając introspektywne usposobienie, często usiłowałem przeanalizować i określić osobliwe uczucie, jakie we mnie wzbudzała — tajemniczą, ledwo uchwytną, lecz potężną siłę przyciągania, która bezustannie zmuszała mnie do szukania towarzystwa dziewczyny. Atoli usiłowania te okazywały się bezowocne. Jednego przynajmniej mogłem być pewien, a mianowicie tego, że nie jest to miłość. Przekonawszy się o tym i żywiąc przeświadczenie, że i ona odpłaca mi równą szczerością, ośmieliłem się pewnego wieczoru (pamiętam, że było to 3 lipca), kiedy siedzieliśmy na pokładzie, poprosić ją na pół żartem, by zechciała pomóc mi w rozwiązaniu mych wątpliwości natury psychologicznej.

Milczała przez chwilę z odwróconą głową i już zacząłem się obawiać, że okazałem daleko posuniętą niegrzeczność i niedelikatność, gdy wtem utkwiała w mych oczach poważne spojrzenie. Ogarnęło mnie natychmiast najprzedziwniejsze wrażenie, jakie kiedykolwiek dotarło do ludzkiej świadomości. Wydało mi się, że patrzy na mnie nie o c z a m i, lecz p r z e z o c z y — z niezmierzonej odległości poza nimi — i że inne jeszcze osoby, mężczyźni, kobiety i dzieci, na których obliczach pochwyciłem osobliwie znajomy, efemeryczny wyraz, skupiły się wokół niej przepychając się z łagodną natarczywością, by spojrzeć na mnie przez te same źrenice. Żaglowiec, ocean, niebo — wszystko zniknęło. Nie byłem świadom niczego prócz postaci z owej nadzwyczajnej i fantastycznej sceny. Wtenczas całkiem zniemacka spadła na mnie ciemność i niebawem, jak komuś, kto stopniowo przyzwyczaja się do przyćmionego światła, z wolna poczęły ukazywać mi się w mroku zarysy przedmiotów poprzednio mnie otaczających — i pokład, i maszt, i olinowanie. Panna Harford siedziała z zamkniętymi oczami, wsparta na leżaku, pozornie pogrążona we śnie; książka, którą przedtem czytała, leżała otwarta na jej kolanach. Wiedziony nie wiedzieć jakim impulsem, spojrzałem na górę strony; był to egzemplarz owego rzadkiego i zdumiewającego dzieła *Medytacje Denneкера*;

palec wskazujący młodej damy spoczywał na tym oto ustępie:

„Niektórym dane jest porzucić ciało i żyć z dala od niego przez czas jakiś; albowiem tak jak strumyki z jednego dorzecza krzyżują się i schodzą ze sobą, przy czym silniejszy wchłania słabszy, tak i pewne istoty związane więzami pokrewieństwa krzyżują ścieżki swego życia, a dusze ich obcuja ze sobą, gdy tymczasem ich ciała kroczą z góry wyznaczonymi drogami, nieświadomie”.

Panna Harford wstała drżąc na całym ciele; słońce zaszło za widnokretem, lecz nie było zimno. Nie odczuwało się najłżejszego podmuchu wiatru, a choć niebo było bezchmurne, nie błyszczała na nim ani jedna gwiazda. Na pokładzie rozległ się tupot szybkich kroków; kapitan, przywołany z dołu, podszedł do pierwszego oficera przyglądającego się barometrowi. Usłyszałem, jak wykrzyknął: „Dobry Boże!”

W godzinę później okrutny wir wytworzony przez tonący statek wydarł mi z uścisku Janette Harford, niewidoczną w ciemnościach i pyle wodnym, a ja sam zemdlałem, zaplątany w olinowanie dryfującego masztu, do którego się uprzednio przywiązałem.

Obudziłem się przy świetle lampy. Leżałem na koi w znanym mi luksusowym wnętrzu kabiny parowca. Na kanapie naprzeciw mnie siedział mężczyzna na pół rozebrany, najwidoczniej w zamiarze położenia się do łóżka, i czytał książkę. Rozpoznałem oblicze mego przyjaciela, Gordona Doyle'a, którego spotkałem w Liverpoolu w dniu mego zaokrętowania, gdy tymczasem on sam miał odpłynąć na pokładzie parowca „Praga” i namawiał mnie wówczas usilnie, bym mu towarzyszył.

Po dłuższej chwili wymówiłem jego imię. Rzekł po prostu „Tak” i przewrócił kartkę nie odrywając wzroku od książki.

— Doyle — powtórzyłem — czy uratowano ją?

Wtenczas raczył łaskawie spojrzeć na mnie i uśmiechnął się jakby rozbawiony. Widocznie myślał, że nie jestem jeszcze całkiem rozbudzony.

— Ją? Kogo masz na myśli?

— Janette Harford.

Jego rozbawienie ustąpiło miejsca osłupieniu. Milczał nie odrywając oczu od mojej osoby.

— Powiesz mi za chwilę — ciągnąłem — chyba powiesz mi za chwilę.

Po paru minutach spytałem:

— Co to za statek?

Doyle ponownie obrzucił mnie zdumionym spojrzeniem.

— Parowiec „Praga” płynący z Liverpoolu do Nowego Jorku, od trzech tygodni z uszkodzonym wałem. Główny pasażer, pan Gordon Doyle, a także obłąkaniec, pan William Jarrett. Obaj ci znakomici podróżni wsiedli razem na pokład, jednakże za chwilę się rozstana, albowiem pierwszy z nich powziął rozsądny zamiar wyrzucenia drugiego za burtę.

Poderwałem się i usiadłem sztywno wyprostowany.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że od trzech tygodni jestem pasażerem tego parowca?

— Tak, prawie od trzech, dziś mamy 3 lipca.

— Czy byłem chory?

— Zdrow jak ryba i punktualny na posiłkach.

— Mój Boże, Doyle, w tym tkwi jakaś tajemnica. Bądź tak dobry i powiedz poważnie. Czyż nie uratowano mnie z rozbitego żaglowca „Przyszłość”?

Doyle zmienił się na twarzy i podszedłszy do mnie chwycił mnie silnie za przegub ręki. Po chwili spytał spokojnie:

— Co wiesz o Janette Harford?

— Wpierw powiedz mi, co ty o niej wiesz?

Pan Doyle wpatrywał się we mnie przez dłuższy czas, jak gdyby rozważając co uczynić,

po czym usiadł ponownie na kanapie i rzekł:

— Czemuz nie miałbym ci powiedzieć? Zamierzam poślubić Janette Harford, którą poznałem przed rokiem w Londynie. Jej rodzina, jedna z najzamożniejszych w Devonshire, stanowczo się temu sprzeciwiała, więc uciekliśmy... a właściwie uciekamy, gdyż tego samego dnia, kiedy ty i ja stawialiśmy stopę na pomoście, by wejść na pokład tego parowca, ona i jej wierna służąca, Murzynka, minęły nas kierując się w stronę żaglowca „Przyszłość”. Janette nie chciała się zgodzić na podróż tym samym co ja statkiem i uważaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli popłynie żaglowcem, w ten bowiem sposób uniknie niedyskretnych spojrzeń, a tym samym zmniejszy się ryzyko rozpoznania. Jestem teraz niespokojny, czy ta przekłeta awaria naszej maszynierii nie opóźni naszego przybycia tak dalece, iż „Przyszłość” zawinie do Nowego Jorku przed nami, a wówczas biedna dziewczyna nie będzie wiedziała, dokąd się udać.

Leżałem spokojnie na koi — tak spokojnie, że ledwie oddychałem. Jednakże temat rozmowy nie był widocznie niemiły Doyle'owi, skoro po krótkim milczeniu podjął dalej:

— Nawiasem mówiąc, jest ona tylko adoptowaną córką Harfordów. Jej matka zabiła się w ich posiadłości spadając z konia na polowaniu, a jej ojciec, oszalały z bólu, skończył ze sobą tego samego dnia. Nikt nigdy nie żądał zwrotu dziecka, więc po upływie godzinnego czasu zaadoptowali je. Dziewczynka wychowała się w przekonaniu, że jest ich córką.

— Doyle, jaką książkę czytasz?

— Och, nosi tytuł *Medytacje Denneкера*. Różne takie dziwaczne historie. Janette mi ją dała, miała dwa egzemplarze. Chcesz przejrzeć?

Rzucił mi ów tom, który otworzył się upadając. Na jednej z otwartych stron widniał podkreślony ustęp:

„Niekórym dane jest porzucić ciało i żyć z dala od niego przez czas jakiś; albowiem tak jak strumyki z jednego dorzecza krzyżują się i schodzą ze sobą, przy czym silniejszy wchłania słabszy, tak i pewne istoty związane więzami pokrewieństwa krzyżują ścieżki swego życia, a dusze ich obcuja ze sobą, gdy tymczasem ich ciała kroczą z góry wyznaczonymi drogami, nieświadomie”.

— Miała... ma... upodobanie do osobliwej lektury — zdołałem wyjąkać, opanowując wzruszenie.

— Tak. A teraz może ty będziesz tak uprzejmy i wyjaśnisz mi, skąd znasz jej nazwisko i nazwę żaglowca, którym płynie.

— Mówiłeś o niej przez sen — odparłem.

W tydzień później przyholowano nas do portu Nowy Jork. Ale o „Przyszłości” słuch zaginął.

## Środkowy palec prawej nogi

### I

Ogólnie wiadomo, że stary dwór Mantona jest nawiedzany przez duchy. W całej okolicy nikt rozsądny nie żywi co do tego żadnych wątpliwości; niedowiarstwo jest wyłączną cechą owych upartych osób, które nazwiemy „cudakami”, gdy tylko użyteczne to słowo przeniknie do intelektualnych warstw pisma „Naprzód” w mieście Marshall. Istnieje dwojakiemu rodzaju dowód na to, że dom jest nawiedzany: oświadczenia bezstronnych świadków, którzy naocznie się o tym przekonali, oraz świadectwo, jakie daje sam dom. Pierwsze można zlekceważyć i wykluczyć na zasadzie rozmaitych zastrzeżeń, które mogą przeciw takiemu świade-

ctwu wysunąć osoby pomysłowe; fakty jednak, będące w zasięgu obserwacji wszystkich, są namacalne i sprawdzalne.

Przed wszystkim w domu Mantona nie mieszkał żaden śmiertelnik przez ponad dziesięć lat i dom ów wraz z przybudówkami powoli chylił się ku ruinie — okoliczność, której jako takiej żaden rozumny człowiek nie odważył się zignorować. Dwór Mantona stoi w opustoszałej okolicy, niedaleko drogi prowadzącej do Marshall i Harriston, na polanie, która niegdyś była farmą i wciąż jeszcze zaśmiecona jest resztkami gnijącego ogrodu i na pół pokryta krzakami jeżyn wybujałymi na kamienistej i jałowej ziemi, od dawna już nie znającej pługa. Sam dom jest w niezłym stanie, choć nosi ślady zmiennej aury i najwidoczniej pilnie potrzebuje usług szklarza, mniej bowiem liczna męska ludność regionu zaprotestowała w sposób właściwy swej płci przeciw domostwu bez mieszkańców. Dom ma dwa piętra, jest niemal kwadratowy, jest tylko jedno wejście od frontu, mające po obu stronach okna zabite deskami po sam wierzchołek. Analogiczne okna powyżej, niczym nie zabezpieczone, służą — do wpuszczania światła i deszczowej wody do pokoi wyższego piętra. Trawa i chwasty plenią się bujnie dookoła, a kilka cienistych drzew, stanowiących pewną ochronę przed wiatrem i pochylonych w jednym kierunku, sprawia wrażenie, że czynią zgodne wysiłki, by uciec z tego miejsca. Krótko mówiąc, jak to wyjaśnił humorysta z miasta Marshall na łamach „Naprzód”, „Twierdzenie, że w domu Mantona paskudnie straszy, jest jedynym logicznym następstwem stanu, w jakim znajduje się owa posiadłość”. Fakt, że w tym właśnie domostwie pan Manton uznał za stosowne wstać z łóżka pewnej nocy przed około dziesięciu laty i poderżnąć gardła żonie i dwojgu małym dzieciom, po czym natychmiast zbiec do innej części kraju, przyczynił się bez wątpienia do powszechnego uznania tego miejsca za jak najbardziej odpowiednie dla zjawisk nadprzyrodzonych.

Do tegoż domu przybyło powozem pewnego letniego wieczoru czterech mężczyzn. Trzech z nich szybko wysiadło, a ten, który powoził, uwiązał konie przy jedynym słupku, jaki pozostał po tym, co ongiś było ogrodzeniem. Czwarty mężczyzna siedział dalej w powozie.

— Niech pan wysiada — odezwał się jeden z jego towarzyszy zbliżając się doń, gdy tymczasem inni szli już w kierunku domu — jesteśmy na miejscu.

Mężczyzna zagadnięty w ten sposób nie poruszył się.

— Na Boga! — rzekł chrapliwym głosem — to jest podstęp i wydaje mi się, że pan maczał w tym palce.

— Być może tak jest — odparł tamten patrząc mu prosto w oczy i mówiąc tonem, w którym dźwięczała nuta pogardy — proszę jednak pamiętać, że wybór miejsca pozostawiono, za pańską zgodą, drugiej stronie. Oczywiście, jeśli boi się pan duchów...

— Nie boję się niczego — przerwał mężczyzna, dodawszy jakieś przekleństwo, i zeskokczył na ziemię. Obaj przyłączyli się do reszty osób stojących przy drzwiach, które jeden z nich otworzył nie bez trudu z powodu rdzy na zamku i zawiasach. Wszyscy weszli do domu. Wewnątrz panowały ciemności, lecz ów osobnik, który otworzył drzwi, wyjął świecę i zapaliki i oświetlił nieco wnętrze. Następnie, gdy wszyscy stali w przejściu, odryglował drzwi po prawej stronie. W nikłym blasku świecy ukazał się szeroki kwadratowy pokój. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu, częściowo tłumiąca odgłos kroków. Pajęczyny zasnuwały kąty i zwisały z sufitu niczym festony przegniłej koronki kołysząc się falistym ruchem w nagle poruszone powietrze. Pokój miał dwa okna na dwóch przyległych ścianach, lecz z żadnego z nich nie można było niczego dojrzeć z wyjątkiem chropawej wewnętrznej powierzchni desek odstających na kilka cali od szyb. Nie było ani kominka, ani żadnych mebli; nie było w ogóle niczego; prócz pajęczyn i kurzu czterech mężczyzn było jedynymi obiektami nie stanowiącymi części budowli.

Przedstawiali oni dość osobliwy widok w żółtym blasku świecy. Ten, który tak niechętnie wysiadł z powozu, prezentował się szczególnie okazale — można by uznać jego powierzchowność za rzucającą się w oczy. Był w średnim wieku, o ciężkiej budowie ciała, zapadnię-

tej klatce piersiowej i szerokich ramionach. Sądząc po jego postaci, można by przypuszczać, że posiada siłę olbrzyma; sądząc po rysach — że użyje jej niczym olbrzym. Był gładko wygolony, siwe włosy ostrzyżone miał tuż przy skórze. Zmarszczki przecinały niskie czoło nad oczami, układając się pionowo u nasady nosa. Krzaczaste czarne brwi, poddane temu samemu prawu, uniknęły spotkania tylko dzięki temu, że skręcały w górę w miejscu, które w przeciwnym razie byłoby punktem styku. Dwoje głęboko osadzonych pod tymi brwiami oczu niewiadomej barwy, bezsprzecznie zbyt małych, lśniło w mrocznym świetle. W ich wyrazie było coś odpychającego, czego nie łagodziły bynajmniej okrutna linia ust i szeroka szczęka. Nos był niezły, jak to nos; nie należy spodziewać się zbyt wiele po nosach. Złowieszczy wyraz jego oblicza podkreślała nienaturalna wprost bladość — wydawało się, że nie ma w nim ani kropli krwi.

Powierzchnowość pozostałych mężczyzn była całkiem przeciętna: należeli do tych ludzi, których zapomina się natychmiast po ich spotkaniu. Wszyscy byli młodszy od wyżej opisanego mężczyzny; najwidoczniej nie łączyły tego ostatniego przyjazne uczucia z najstarszym z grupy, stojącym osobno. Unikali wzajemnie swych spojrzeń.

— Panowie — odezwał się mężczyzna trzymający świecę i klucze — przypuszczam, że wszystko jest w porządku. Czy jest pan gotów, panie Rosser?

Mężczyzna trzymający się z dala od grupki skłonił się z uśmiechem.

— A pan, panie Grossmith?

Jegomość o ciężkiej budowie ciała skłonił się z nachmurzoną miną.

— Proszę uprzejmie, by panowie, się rozebrali.

Obaj zdjęli szybko kapelusze, płaszcze, kamizelki i szaliki, po czym cisnęli owe części garderoby za drzwi na korytarz. Człowiek ze świecą skinął głową, a czwarty mężczyzna — ten, który ponaglał Grossmitha, by wysiadł z powozu — wyjął z kieszeni płaszcz dwa długie, morderczo wyglądające noże myśliwskie i zdjął z nich skórzane pochwy.

— Są one całkiem jednakowe — powiedział, podając po jednym nożu każdemu z dwóch przeciwników; w tym miejscu nawet najmniej bystry czytelnik zrozumie, jaki był cel owego spotkania. Miał to być pojedynek na śmierć i życie.

Obaj przeciwnicy wzięli noże, obejrzel je dokładnie przy świecy i sprawdzili wytrzymałość ostrza i rękojeści przesuwając je na uniesionym kolanie. Następnie obaj przeszukali się wzajemnie.

— Jeśli nie ma pan nic przeciw temu, panie Grossmith — rzekł mężczyzna trzymający świecę — będzie pan łaskaw stanąć w tamtym rogu pokoju.

Wskazał kąt pokoju położony najdalej od drzwi, dokąd ruszył Grossmith, wymieniwszy ze swym sekundantem bynajmniej nie serdeczny uścisk dłoni. Pan Rosser zajął miejsce w rogu pokoju najbliższym drzwi. Po odbytej szeptem naradzie sekundant odszedł przyłączając się do drugiego, stojącego przy drzwiach. W tej samej chwili świeca nagle zgasła pogrążając wszystko w nieprzeniknionych ciemnościach. Mogło to się stać z winy przeciągu, drzwi bowiem były otwarte; jakakolwiek była tego przyczyna, skutek był zaskakujący.

— Panowie — odezwał się jakiś głos, brzmiały dziwnie obco w zmienionych warunkach, wywierających ujemny wpływ na zmysły — panowie, proszę się nie ruszać, póki nie usłyszycie, że drzwi frontowe się zamknęły.

Dał się słyszeć odgłos kroków, a następnie łoskot zamykanych drzwi wewnętrznych; wreszcie drzwi frontowe zatrasnęły się z hukiem, który wstrząsnął całym budynkiem.

W kilka minut później zapóźniony parobek spotkał na drodze lekki powóz, unoszony w szaleńczym pędzie w kierunku miasta Marshall. Chłopiec oświadczył, że za dwoma postaciami na przednim siedzeniu stała z tyłu trzecia postać z rękoma opartymi na pochylonych ramionach obu siedzących, którzy zdawali się czynić daremne wysiłki, by wyswobodzić się z uścisku. Postać ta, w przeciwieństwie do pozostałych, ubrana była na biało i bez wątpienia wsiadła do powozu, gdy tenże przejeżdżał koło nawiedzonego domu. Ponieważ chłopiec mógł



poszczycić się znacznym, uprzednio nabytym doświadczeniem w obcowaniu z nadprzyrodzonymi zjawiskami w tamtej okolicy, słowo jego miało uzasadnioną wagę świadectwa znawcy przedmiotu. Historia ta (w powiązaniu z wypadkami z dnia następnego) ostatecznie ukazała się w „Naprzód” z pewnymi literackimi upiększeniami i końcowym zawiadomieniem, że gentlemani wzmiankowani w opowiadaniu będą upoważnieni do wykorzystania kolumn gazety dla własnej wersji owej nocnej przygody. Nikt jednak nie chciał skorzystać z owego przywileju.

## II

Wypadki, które doprowadziły do owego „pojedyunku w ciemności”, były całkiem zwyczajnej natury. Pewnego wieczoru trzech młodzi ludzie z miasta Marshall siedzieli w spokojnym kątku werandy miejscowego hoteliku, pałac i rozprawiając o sprawach, jakie mogą w całkiem naturalny sposób zainteresować trzech wykształconych młodych ludzi z jednego z miasteczek Południa. Nosili nazwiska King, Sancher i Rosser. W bliskiej od nich odległości, w zasięgu głosu, lecz nie biorąc udziału w rozmowie, siedział ktoś czwarty. Młodzi ludzie nie znali go, wiedzieli jedynie, że ów nieznajomy, po przybyciu na miejsce dylizansem, wpisał się do rejestru hotelowego jako Robert Grossmith. Nie zauważono, by rozmawiał z kimkolwiek, wyjąwszy portiera hotelowego. Robił w istocie wrażenie człowieka ogromnie zadowolonego z towarzystwa własnej osoby — lub, jak personel gazety „Naprzód” to wyraził, „karygodnie oddającego się złym wspomnieniom”. Należy jednak zaznaczyć, by oddać sprawiedliwość nieznajomemu, że sam personel zdradzał zbyt duże skłonności do życia towarzyskiego, by móc bezstronnie osądzić kogoś, kto miał inne upodobania, a prócz tego zawiodły go nadzieje na uzyskanie „interview”.

— Nie znoszę jakiegokolwiek kalectwa u kobiety — powiedział King — czy to wrodzonego, czy nabytego. Mam swoją teorię, wedle której każdemu defektowi fizycznemu towarzyszy przywara umysłowa i moralna.

— Wnioskuje tedy — odparł Rosser poważnym tonem — że dama, której brak moralnych zalet z winy szpetnego nosa, musiałaby uznać wysiłki, by zostać panią King, za bardzo trudne przedsięwzięcie.

— Oczywiście możesz wyrazić to w ten sposób — padła odpowiedź — lecz, mówiąc poważnie, ja sam niegdyś porzuciłem najbardziej czarującą dziewczynę, gdy dowiedziałem się całkiem przypadkowo, że amputowano jej palec u nogi. Postąpiłem brutalnie, jeśli chcecie, lecz gdybym ożenił się z nią, byłbym nieszczęśliwy do końca życia i ją również bym unieszczęśliwił.

— Tymczasem — rzekł Sancher, śmiejąc się niefrasobliwie — wyszedłszy za mąż za gentlemana o bardziej liberalnych poglądach, uniknęła tego nieszczęścia za cenę rozplatanego gardła.

— Ach, a więc wiesz, o kim mówię. Tak, poślubiła Mantona, lecz nic nie wiem na temat jego liberalności; nie jestem tego całkiem pewien, lecz podobno poderżnął jej gardło, ponieważ stwierdził, iż brak jej owej doskonałej dla kobiety rzeczy, jaką jest środkowy palec prawej nogi.

— Spójrzcie na tego jegomościa! — szepnął Rosser z oczyma utkwionymi w nieznanym.

Ów jegomość najwyraźniej przysłuchiwał się rozmowie z wielką uwagą.

— Niech diabli porwą jego zuchwalstwo! — wymamrotał King — co powinniśmy zrobić?

— Nic prostszego — odparł Rosser wstając. — Sir — podjął, tym razem zwracając się

do nieznanego — wydaje mi się, że powinien pan przenieść się wraz z krzesłem w drugi koniec werandy. Widocznie nigdy dotąd nie znajdował się pan w obecności gentlemanów.

Obcy mężczyzna zerwał się na równe nogi i ruszył do przodu z zaciśniętymi pięściami i obliczem zbiegającym ze złości. Wszyscy wstali. Sancher stanął między skłóconymi.

— Jesteś porywczy i niesprawiedliwy — rzekł do Rossera — ten gentleman nie zrobił niczego, co by zasługiwało na tego rodzaju odezwanie.

Rosser nie chciał jednak cofnąć ani jednego słowa. Stosownie do zwyczajów panujących w kraju i ówczesnej epoce, jeden mógł być tylko wynikiem owej kłótni.

— Żądam satysfakcji należnej gentlemanowi — rzekł nieznanemu, który tymczasem nieco się uspokoił — nie mam żadnych znajomych w tej okolicy. Może pan, sir — skłonił się Sancherowi — wyświadczy mi tę uprzejmość i zechce reprezentować mnie w tej sprawie.

Sancher zgodził się spełnić powierzony mu obowiązek — choć należy przyznać, że cokolwiek niechętnie, powierzchnowość bowiem i manieri nieznanego bynajmniej nie przypadły mu do gustu. King, który podczas całej rozmowy nie spuszczał prawie oczu z twarzy nieznanego i nie odezwał się ani jednym słowem, skinął głową na znak zgody, by wystąpić w imieniu Rossera. Skończyło się na tym, że po wyjściu obu przeciwników ustalono spotkanie na następny dzień wieczorem. Powzięte decyzje zostały już ujawnione. Pojedynek na noże w ciemnym pokoju był wówczas powszechniejszym rysem życia na Południowym Zachodzie niż kiedykolwiek później. Przekonamy się sami, jak cienka warstewka „rycerskości” pokrywała prawdziwą brutalność kodeksu, na mocy którego możliwe były podobne spotkania.

### III

W blasku południowego słońca w środku lata stary dom Mantona okazał się niezbyt wierny swym tradycjom. Nie było w nim niczego niezmiernie, był całkowicie realny. Światło słoneczne nie skąpiło mu ciepłych i serdecznych pieścizot, najwyraźniej ignorując jego złą reputację. Trawa barwiąca zielenią całą przestrzeń przed domem nie pleniła się dziko, lecz rosła z naturalną i radosną bujnością, a zielska kwitły niczym szlachetne rośliny. Przepojone uroczym światłem i cieniem, rojne od ciżby mile rozswiergotanych ptaków, dawniej opuszczone, cieniste drzewa nie usiłowały już uciekać, lecz pochylały się z szacunkiem pod brzemieniem słonecznego światła i śpiewu. Nawet pozbawione szyb okna górnego piętra przybrały wyraz spokoju i zadowolenia dzięki światłu padającemu do wnętrza. Nad kamiennymi polami namacalny żar wykonywał żywy, rozedrgany taniec sprzeczny z powagą będącą atrybutem nadprzyrodzonych sił.

Tak oto wyglądało to miejsce, gdy zawitał tam szeryf Adams wraz z dwoma innymi ludźmi, którzy przybyli z miasta Marshall, by rzucić okiem na dom. Jednym z owych ludzi był pan King, zastępca szeryfa; drugim był brat śp. pani Manton, noszący nazwisko Brewer. Na mocy dobroczynnego prawa państwowego, dotyczącego własności czasowo opuszczonej przez właściciela, którego miejsca pobytu nie można ustalić, szeryf był prawnym opiekunem farmy Mantona i jej przyległości. Jego obecna wizyta wynikała jedynie z konieczności spełnienia, choćby dla pozorów, polecenia sądu, w którym pan Brewer prowadził proces celem wejścia w posiadanie owego gospodarstwa jako dziedzictwa po zmarłej siostrze. Czystym przypadkiem wizyta ta miała miejsce następnego dnia po owym wieczorze, kiedy to zastępca szeryfa, pan King, odryglował drzwi domu w innym zupełnie zamiarze. Obecność jego nie była tym razem dobrowolna: otrzymał rozkaz towarzyszenia swemu przełożonemu i w danej chwili uznał, że będzie najostrożniej udawać gorliwie posłuszeństwo wobec rozkazu.

Niedbale otworzywszy drzwi frontowe, które, ku jego zdziwieniu, nie były zaryglowa-

ne, szeryf zdumiał się widząc leżący na podłodze korytarza za owymi drzwiami bezładny stos męskiej odzieży. Po obejrzeniu okazało się, że są tam dwa kapelusze oraz taka sama liczba surdutów, kamizelek i szalików; wszystkie owe części garderoby były zachowane w doskonałym stanie, aczkolwiek nieco zakurzone. Pan Brewer był równie zdziwiony, lecz wrażenia odniesionego przez pana Kinga nie da się opisać. Żywo teraz zainteresowany czynnościami, jakie miał do spełnienia, szeryf nacisnął klamkę i pchnął na całą szerokość drzwi po prawej stronie, po czym wszyscy weszli. Pozornie pokój był pusty... nie; gdy oczy ich oswoiły się z przyćmionym światłem, ujrzeli jakiś kształt w najdalszym kącie pod ścianą. Był to kształt ludzki — jakiegoś człowieka skulonego w samym rogu pokoju. Coś w jego pozie kazało intruzom zatrzymać się, ledwie przestąpili próg. Postać owa coraz dokładniej rysowała się przed ich oczami. Klęczała na jednym kolanie, wciśnięta plecami w kąt, z ramionami podniesionymi do poziomu oczu, z rękoma zasłaniającymi twarz, dłońmi odwróconymi na zewnątrz, palcami szeroko rozstawionymi i zakrzywionymi niczym szpony; biała twarz zwrócona ku górze na wykręconej szyi miała wyraz niewypowiedzianego przerażenia: usta na pół otwarte, oczy niewiarogodnie rozszerzone. Człowiek ów nie żył. Jednakże, z wyjątkiem myśliwskiego noża, który najwidoczniej wypadł mu z ręki, nie było żadnego innego przedmiotu w pokoju.

Na grubej warstwie kurzu zalegającej podłogę rysowały się pomieszane ślady stóp, biegnące od drzwi wzdłuż ściany. Wzdłuż jednej z przyległych ścian i pod oknami zabitymi deskami biegł inny ślad, pozostawiony przez tegoż człowieka, gdy starał się dotrzeć do swego kąta. Instynktownie trzech mężczyzn poszli tym śladem, by zbliżyć się do ciała. Szeryf uchwycił jedno z wyciągniętych ramion; było sztywne jak żelazo, a pod lekkim naciskiem całe ciało przechyliło się, nie zmieniając pozycji poszczególnych swych części. Brewer, błądzący ze wzburzenia, utkwiał baczenie spojrzenie w wykrzywionej twarzy.

— Na miłość boską! — krzyknął nagle — to jest Manton!

— Ma pan rację — odparł King wyraźnie starając się zachować spokój — znałem Mantona. Nosił wówczas pełny zarost i długie włosy, lecz to on.

Mógłby dodać: „Poznałem go, gdy wyzwiał Rossera na pojedynek. Powiedziałem Rosserowi i Sancherowi, kto to jest, nim splataliśmy mu tego straszego figła. Gdy Rosser opuścił ten ciemny pokój depcząc nam po piętach, zapomniał w zamieszaniu o swoim wierzchnim ubraniu, i odjechał razem z nami w samej tylko koszuli — podczas całego tego niewiarygodnego zajścia wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia, z zabójcą i tchórzem, jakim był!”

Z tego wszystkiego pan King nie powiedział jednak ani słowa. Znając fakty starał się zgłębić tajemnicę śmierci owego człowieka. Zrozumiał, że Manton nie ruszył się z kąta pokoju, w którym wyznaczono mu miejsce; że postawa jego nie była ani atakująca, ani obronna; że wypuścił broń z ręki; że najwyraźniej umarł po prostu z przerażenia ujrawszy coś — oto okoliczności, których wzburzony umysł pana Kinga nie mógł dokładnie pojąć.

Starając się znaleźć w zmaconych myślach nic, która wyprowadziłaby go z owego labiryntu wątpliwości, spojrzenie, jakie bezwiednie spuścił ku ziemi, jak gdyby zastanawiał się nad sprawami wielkiej wagi, padło na coś, co w pełnym świetle dnia i w obecności żywych towarzyszy przejęło go zgrozą. W wieloletnim kurzu zalegającym grubą warstwą podłogę biegły — od drzwi, przez które wszyscy weszli, prosto przez pokój aż do miejsca odległego o jard od skulonego ciała Mantona — trzy równoległe rzędy śladów stóp — lekkie, acz wyraźne odciski bosych nóg, po zewnętrznej stronie ślady stóp małych dzieci, w środku stóp kobiecych. Od miejsca, w którym ślady się urywały, nie było już powrotnych; wszystkie zwrócone były w jedną stronę. Brewer, który spostrzegł je w tej samej chwili, przechylił się do przodu w pozie zdradzającej wyteżoną uwagę, przeraźliwie błądzący.

— Spójrzcie na to! — krzyknął wskazując obiema rękami najbliższy odcisk kobiecej prawej stopy w miejscu, w którym widocznie zatrzymała się i stała czas jakiś — brak środko-

wego palca... to była Gertruda!

Gertruda była zmarłą panią Manton, siostrą pana Brewera.

## Pogrzeb Johna Mortonsona \*

John Mortonson nie żył: rola jego w „Tragedii człowieka” została wyrecytowana do końca, a on sam opuścił scenę.

Ciało spoczywało we wspianiałej mahoniowej trumnie ze szklaną płytką. Tak starannie zajęto się wszelkimi przygotowaniem do pogrzebu, że gdyby zmarły o tym wiedział, bez wątpienia byłby wyraził swą aprobatę. Oblicze widoczne przez szkło nie miało nieprzyjemnego wyglądu; błąkał się na nim słaby uśmiech, a ponieważ śmierć przyszła bezboleśnie, twarz nie była wykrzywiona na tyle, by przedsiębiorca pogrzebowy nie mógł sobie z nią poradzić. O drugiej godzinie po południu mieli się zebrać przyjaciele, by po raz ostatni złożyć wyrazy szacunku komuś, kto nie potrzebował już ani przyjaciół, ani szacunku. Pozostali przy życiu członkowie rodziny podchodzili pojedynczo co kilka minut do trumny i ronili łzy nad spokojnymi rysami twarzy pod szkłem. Nic im to nie pomogło; nie pomogło również Johnowi Mortonsonowi, lecz w obliczu śmierci rozum i filozofia milczą.

Z nadejściem drugiej godziny jęli przybywać przyjaciele i po złożeniu pograżonym w żalu krewnym kondolencji, jakich wymagały okoliczności, rozsiedli się z namaszczeniem wokół pokoju, głąboko przeświadczeni o doniosłości własnego udziału w obrzędzie pogrzebowym. Następnie przybył pastor i w jego zaćmiewającej wszystko obecności pomniejsze światła przygasły. Za nim weszła wdowa, której lamenty wypełniły pokój. Podeszła do trumny i przywarła na chwilę twarzą do zimnej szyby, nim łagodnie odprowadzono ją na miejsce obok córki. Żałobnym i cichym tonem sługa boży rozpoczął mowę pochwalną na cześć zmarłego, a jego płaczliwy głos przerywany szlochami, które miał na celu wywołać i podtrzymywać, wznosił się i opadał, zdawał się przybliżać i oddalać, niczym szum posepnego morza. Ponury dzień zszarzał jeszcze bardziej, w miarę jak pastor mówił: całun z chmur przesłonił niebo i spadło kilka kropel deszczu. Zdawało się, że cała natura opłakuje Johna Mortonsona.

Gdy pastor modlitwą zakończył mowę pochwalną, odśpiewano pobożną pieśń i grabarze zajęli miejsce przy marach. Kiedy ucichły ostatnie dźwięki pieśni, wdowa podbiegła do trumny, rzuciła się na nią i zaniósła histerycznym łkaniem. Stopniowo jednak, ulegając perswazji, opanowała się, a gdy pastor odciągał ją od trumny, oczy jej poszukały twarzy zmarłego pod szkłem. Wyrzuciła w górę ramiona i z przeraźliwym krzykiem upadła na wznak bez przytomności.

Żałobnicy, rodzina i przyjaciele, przyskoczyli do trumny i gdy zegar na kominku uroczyście wybił trzecią, wszyscy spojrzeli na oblicze zmarłego Johna Mortonsona.

Odwrócili się bladzi i niemal omdlali. Jeden z mężczyzn, usiłując w śmiertelnym przerażeniu uciec od tego strasznego widoku, potknął się z takim impetem o trumnę, że wywrócił jedną z jej słabych podpór. Trumna runęła na podłogę, szkło przy upadku rozprysło się na drobne kawałki.

Przez otwór wylazł kot Johna Mortonsona i leniwie zeskoczył na podłogę; usiadł, spokojnie wytarł szkarłatny pyszczek przednią łapą, po czym z godnością wyszedł z pokoju.

\* Brudnopis tego opowiadania znaleziony został między papierami zmarłego Leigha Bierce'a. Jest tu wydrukowany po takiej jedynie korekcie, jaką sam autor mógł zrobić podczas przepisywania.

# Królestwo iluzji

## I

Na pewnym odcinku między Auburn i Newcastle droga — biegnąca z początku po jednej stronie rzeczki, a potem po drugiej — zajmuje całe dno parowu, będąc częściowo wyciętą w stromym zboczu wzgórza, a częściowo zbudowaną z otoczków usuniętych z koryta strumienia przez poszukiwaczy złota. Wąwóz wiję się wśród zalesionych wzgórz. W ciemną noc należy jechać ostrożnie, by nie stoczyć się do wody. W ową pamiętną dla mnie noc strumień wezbrany po niedawnej burzy zamienił się w rwący potok. Jechałem z Newcastle i znajdowałem się około mili od Auburn w najciemniejszej i najwęższej części wąwozu, wypatrując uważnie drogi ponad głową mego konia. Nagle spostrzegłem jakiegoś człowieka nieomal pod samym końskim pyskiem i ściągnąłem lejce tak gwałtownie, że zwierzę ledwie nie przysiadło na zadzie.

— Proszę mi wybaczyć — rzekłem — nie widziałem pana, sir.

— Trudno było się spodziewać, by mógł mnie pan zauważyć — odparł ów człowiek uprzejmie, podchodząc z boku do pojazdu — a szum strumienia nie pozwolił mi pana usłyszeć.

Natychmiast poznałem jego głos, choć upłynęło pięć lat, odkąd go słyszałem. Nie byłem specjalnie zachwycony, słysząc go teraz.

— Wydaje mi się, że pan jest doktorem Dorrimore — powiedziałem.

— Tak, a pan jest mym dobrym przyjacielem, panem Manrich. Jestem więcej niż zadowolony widząc pana; a ów nadmiar — dodał z krótkim śmiechem — spowodowany jest faktem, że idę w tym samym co pan kierunku i oczywiście oczekuję zaproszenia, by pojechać razem z panem.

— Którego to zaproszenia udzielam z głębi serca.

Zapewnienie nie było całkiem szczere.

Doktor Dorrimore podziękował i zajął miejsce obok mnie, po czym ruszyłem w dalszą drogę z taką samą ostrożnością co poprzednio. Bez wątpienia jest to tylko gra wyobraźni, lecz wydaje mi się teraz, że resztę drogi odbyliśmy w lodowatej mgle; że było mi nieznośnie zimno; że podróż dłużyła się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, a miasto, gdy dojechaliśmy doń, było ponure, odpychające i wyludnione. Musiał to być wczesny wieczór, nie przypominam sobie jednak światła w żadnym z domów ani żadnej żywej istoty na ulicach. Dorrimore tłumaczył mi dość rozwlekłe, jak to się stało, że się tu znalazł i gdzie przebywał przez te wszystkie lata, jakie upłynęły od naszego spotkania. Przypominam sobie, że mi to opowiadał, lecz nie pamiętam żadnego z opowiadanych faktów. Przebywał w obcych krajach i powrócił — to jest wszystko, co pozostało w mej pamięci, a o tym wiedziałem już poprzednio. Co do mnie, to nie mogę sobie przypomnieć, bym odezwał się choć jednym słowem, aczkolwiek z pewnością tak było. Jestem wyraźnie świadom jednej tylko rzeczy: obecność owego człowieka u mego boku była dla mnie dziwnie przykra i niepokojąca... do tego stopnia, że gdy wreszcie zatrzymałem się przed oświetlonym „Putnam House”, odniosłem wrażenie, iż zdołałem ująć przed jakimś duchowym niebezpieczeństwem szczególnie groźnym. Owo uczucie ulgi częściowo mnie opuściło na wiadomość, że doktor Dorrimore zamieszka w tym samym hotelu.

## II

Jako częściowe wytłumaczenie mych uczuć w stosunku do dra Dorrimore opowiem pokrótce okoliczności, w jakich go spotkałem przed kilku laty. Pewnego wieczoru z pół tuzina mężczyzn, w których liczbie się znajdowałem, siedziało w bibliotece „Klubu Cyganerii” w San Francisco. Rozmowa zesłała na temat sztuczek magicznych i wyczynów *prestidigitateurs*, z których jeden występował wówczas w miejscowym teatrze.

— Ci ludzie są oszustami w podwójnym sensie — odezwał się ktoś z naszego grona — nie potrafią niczego takiego, na co warto by było dać się nabrać. Najskromniejszy przydrożny kuglarz w Indiach mógłby swymi sztuczkami przywieść ich do granic obłądu.

— Na przykład w jaki sposób? — zapytał ktoś inny zapalając cygaro.

— Na przykład za pomocą ich zwykłych i znanych sztuczek — rzucaniem w powietrze dużych przedmiotów, które nigdy nie spadają na ziemię; każąc roślinom wypuszczać pędy, rosnąć w widoczny sposób i zakwitać w gołej ziemi wybranej przez widzów; kładąc człowieka do wiklinowego kosza, przedziurawiając go mieczem na wylot, podczas gdy tenże krzyczy i krwawi, a następnie — po otwarciu pokazując puste wnętrze kosza; podrzucając w górę luźny koniec jedwabnej drabinki, wchodząc na nią i znikając.

— Bzdura! — zawołałem, obawiam się, że dość niegrzecznie — pan z pewnością nie wierzy w takie rzeczy?

— Oczywiście że nie: widziałem je zbyt często.

— A ja wierzę — powiedział dziennikarz, który zyskał znaczną miejscową sławę jako reporter odznaczający się malowniczym stylem — tak często o nich opowiadałem, że nic prócz własnej obserwacji nie mogłoby zachwiać moim przekonaniem. Cóż, panowie, mam na ten temat własne zdanie.

Nikt się nie roześmiał — wszyscy patrzyli na coś za moimi plecami. Odwróciwszy się ujrzałem mężczyznę w stroju wieczorowym, który właśnie wszedł do pokoju. Człowiek ów miał wyjątkowo ciemną cerę, prawie śniadą, szczupłą twarz z czarnym zarostem sięgającym ust, bogactwo prostych czarnych włosów w pewnym nieładzie, wydatny nos i błyszczące oczy o tak bezdusznym wyrazie jak oczy kobry. Ktoś z naszego grona wstał i przedstawił go jako dra Dorrimore z Kalkuty. Ponieważ każdy z nas został mu kolejno przedstawiony, odpowiedział głębokim ukłonem na orientalny sposób, lecz bez cienia orientalnej powagi. Jego uśmiech wydał mi się cyniczny i odrobinę pogardliwy. Całe jego zachowanie mogę opisać jedynie jako nieprzyjemne i odstręczające.

Jego obecność skierowała rozmowę na inne tory. Mówił mało — nie przypominam sobie niczego z tego, co powiedział. Uznałem jego głos za szczególnie bogaty i melodyjny, lecz wywarł na mnie takie samo wrażenie jak jego oczy i uśmiech. Po kilku minutach wstałem, by wyjść. On również wstał i włożył płaszcz.

— Panie Manrich — powiedział — idę w tę samą stronę co pan.

Do diabła z panem! — pomyślałem. — Skąd pan wie, dokąd idę? Po czym odpowiedziałem:

— Będzie mi miło, jeśli zechce mi pan towarzyszyć.

Opuściliśmy razem budynek. Nie było żadnej dorożki w zasięgu wzroku, wozy tramwajowe udały się na spoczynek, była pełnia księżyca, a chłodne nocne powietrze upajało; poszliśmy ulicą Kalifornijską pnącą się w górę. Obrąłem ów kierunek w przekonaniu, że mój towarzysz zechce pójść w innym, ku jednemu z hoteli, co byłoby całkiem naturalne.

— Pan nie wierzy w to, co opowiadają o hinduskich kuglarzach — rzekł obcesowo.

— Skąd pan to wie? — spytałem.

Nie udzieliwszy mi odpowiedzi, położył mi lekko dłoń na ramieniu, a drugą ręką wskazał na kamienny chodnik tuż przed nami. Tam, prawie u naszych stóp, leżało ciało nieżywego

człowieka z twarzą zwróconą ku górze, białą w świetle księżyca! Miecz, którego rękojeść skrzyła się drogimi kamieniami, tkwił mu pionowo w piersi; kałuża krwi rozlewała się na kamieniach chodnika.

Byłem wstrząśnięty i przerażony — nie tylko z przyczyny tego, co ujrzałem, lecz również ze względu na okoliczności, w jakich to ujrzałem. Wielokrotnie podczas naszej wspinaczki pod górę przebiegałem wzrokiem, jak sądziłem, całą widoczną przestrzeń chodnika od jednej przecznicy do drugiej. W jakim sposobie moje oczy mogły pozostać nieczułe na ów przerażający widok, tak teraz wyraźny w białym świetle księżyca?

Gdy minęło oszołomienie i odzyskałem przytomność umysłu, spostrzegłem, że ciało jest w wieczorowym stroju: spod szeroko rozpiętego płaszcza ukazywał się frak, biała muszka, szeroki gors koszuli przebity mieczem. I — potworne odkrycie! — oblicze, wyjąwszy jego trupią bladość, było obliczem mego towarzysza! Był to w najdrobniejszym szczególe ubioru i rysów dr Dorrimore we własnej osobie. Oszołomiony i przerażony, zwróciłem się ku żywemu mężczyźnie. Nie było go jednak nigdzie widać; przerażony jeszcze bardziej, rzuciłem się do ucieczki, byle dalej od tego miejsca, w dół ulicy, w kierunku, z którego przybyłem. Zrobiłem jednak zaledwie kilka kroków, gdy ktoś zatrzymał mnie chwyciwszy silnie za ramię. Niewiele brakowało, bym począł krzyczeć z przerażenia: martwy człowiek z mieczem nadal tkwiącym mu w piersi stał obok mnie! Wyciągnąwszy miecz wyswobodzoną ręką odrzucił go od siebie; światło księżyca lśniło na drogich kamieniach rękojeści i na nieskalanym stalowym ostrzu. Miecz upadł z brzękiem na chodnik i... znikł! Mężczyzna, którego twarz odzyskała zwykłe ciemne zabarwienie, zwolnił uścisk na moim ramieniu i spojrzał na mnie z tym samym cynicznym wyrazem, jaki spostrzegłem przy pierwszym spotkaniu. Umarli nie miewają takiego spojrzenia — fakt ten częściowo mnie uspokoił i odwróciwszy się, ujrzałem gładką, białą, nie splamioną powierzchnię chodnika między dwoma przecznicami.

— Co to wszystko ma znaczyć, ty diable? — spytałem dość gwałtownie, choć drżałem na całym ciele.

— To jest to, co niektórzy raczą nazywać kuglarstwem — odparł z krótkim, twardym śmiechem.

Skręcił w dół ulicy Dupont i nie widziałem go więcej aż do chwili naszego spotkania w wąwozie Auburn.

### III

Nie widziałem doktora Dorrimore następnego dnia po naszym drugim spotkaniu; portier w „Putnam House” objaśnił mi, że lekka niedyspozycja zmusiła go do pozostania w swym apartamencie. Tegoż popołudnia na stacji kolejowej zaskoczył mnie i ucieszył niespodziewany przyjazd z Oakland panny Margaret Corray i jej matki.

Nie jest to historia miłosna. Nie umiem tworzyć romansów, a natury miłości nie sposób oddać w pisarstwie zniewolonym i zdominowanym przez poniżającą tyranie ferującą „literackie wyroki” w imieniu Dziewczęcia. Pod obezwładniającymi rządami Dziewczęcia — lub raczej pod nadzorem fałszywych Kapłanów Cenzury, którzy mianowali się strażnikami jej szczęścia — miłość

głęboko tai sekretne płomienie,  
a Moralność gaśnie niepostrzeżenie

zagłodzona na pruderyjnym wikcie przesianej mąki i destylowanej wody.

Niechaj wystarczy, że panna Corray i ja byliśmy zaręczeni. Obie panie udały się do hotelu, w którym mieszkałem, i widywałem je codziennie przez dwa tygodnie. Nie warto wspominać, że czułem się szczęśliwy; jedyną przeszkodą nie pozwalającą mi w pełni cieszyć się

owymi cudownymi dniami była obecność doktora Dorrimore, którego poczytałem sobie za obowiązek przedstawić damom.

W widoczny sposób zyskał ich przychylność. Cóż mogłem powiedzieć? Nie dopatryłem się niczego, co by przemawiało na jego niekorzyść. Jego maniery zdradzały kulturalnego i taktownego gentlemana, a w pojęciu kobiet sposób bycia znamionuje prawdziwego mężczyznę. Gdy raz lub dwa razy spostrzegłem pannę Corray przechadzającą się w jego towarzystwie, ogarnęła mnie wściekłość, a pewnego dnia okazałem się na tyle nieostrożny, że zaprotestowałem. Zapytany o przyczyny, nie potrafiłem podać żadnej i wydało mi się, że dostrzegam w wyrazie jej oczu cień pogardy wobec podobnych wybryków spowodowanych mą złością. Wkrótce stałem się przygnębiony i świadomie nieprzyjemny, aż pewnego razu moja wściekłość sprawiła, że postanowiłem powrócić nazajutrz do San Francisco. O zamiarze tym nie wspomniałem jednak ani słowem.

#### IV

W Auburn znajdował się stary opuszczony cmentarz. Choć leżał nieomal w samym sercu miasta, w nocy było to tak straszne miejsce, jak tylko mogłoby tego pragnąć najposępniejsze ludzkie usposobienie. Sztachetki wokół grobów były zwalone, zbutwiałe — lub w ogóle ich nie było. Wiele grobów zapadło się w ziemię, z innych wyrastały mocne pnie sosen, których korzenie popełniły ohydny grzech. Nagrobki leżały powalone i połamane; krzaki jeżyn porastały cały teren; po większej części ogrodzenie cmentarza już nie istniało, a krowy i świny spacerowały sobie tam do woli; całe to miejsce przynosiło hańbę żyjącym, było potwarzą dla zmarłych i bluźnierstwem przeciw Bogu.

Wieczorem tego dnia, kiedy to powziąłem w przystępie złości szalone postanowienie opuszczenia wszystkiego, co było mi drogie, znalazłem się w owym odpowiadającym memu nastrojowi miejscu. Sierp księżycy rzucał widmowe światło poprzez listowie na owe miejsca i ścieżki, odsłaniając całą ich szpetotę, a czarne cienie zdawały się spiskowcami wstrzymującymi się z objawieniem, póki nie nadejdzie odpowiedni czas, bardziej ponurych i donioślejszych treści. Krocząc po tym, co było niegdyś zwirowaną ścieżką, ujrzałem postać doktora Dorrimore wyłaniającą się z cienia. Ja sam stałem ukryty w cieniu, cicho, z zaciśniętymi pięściami i zębami, starając się opanować pierwszy odruch, by rzucić się na niego i udusić go. W chwilę później inna postać przyłączyła się doń i przywarła do jego ramienia. Była to Margaret Corray!

Nie jestem w stanie dokładnie opisać tego, co się stało. Wiem tylko, że skoczyłem do przodu z zamiarem popełnienia morderstwa; wiem, że znaleziono mnie o szarym brzasku posiniaczonego i krwawiącego, ze śladami palców na szyi. Zabrano mnie do „Putnam House”, gdzie wiele dni leżałem nieprzytomny. O tym wszystkim wiem z opowiadania. Sam pamiętam tylko to, że gdy nastąpił okres rekonwalescencji i odzyskałem świadomość, posłałem po portiera hotelu.

— Czy pani Corray i jej córka są jeszcze tutaj? — spytałem.

— Jakie nazwisko pan wymienił?

— Corray.

— Nie było tutaj nikogo o takim nazwisku.

— Proszę, niech pan nie kpi ze mnie — rzekłem rozdrażniony — widzi pan, że jestem już całkiem zdrow; proszę powiedzieć mi prawdę.

— Daję panu słowo — odparł niewątpliwie szczerze — nie mieliśmy żadnych gości o takim nazwisku.

Słowa jego wprawiły mnie w osłupienie. Parę minut leżałem w milczeniu; następnie



spytałem:

— Gdzie jest dr Dorrimore?

— Wyjechał rankiem tego dnia, w którym stoczył z panem bójkę, i od tej pory nie słyszeliśmy o nim. Ale nieźle się z panem rozprawił!

V

Takie są fakty tej sprawy. Margaret Corray jest obecnie moją żoną. Nigdy nie była w Auburn i w okresie owych tygodni, kiedy to miały miejsce zdarzenia, których przebieg starałem się odtworzyć, tak jak utkwiał w mej pamięci, przebywała w swym domu w Oakland gubiąc się w domysłach, gdzie jest jej ukochany i dlaczego nie pisze. Niedawno przeczytałem w baltimorskiej gazecie „Słońce” następującą notatkę :

„Hipnotyzer profesor Valentine Dorrimore miał ostatniego wieczoru duże audytorium. Wykładowca ów, który większość życia spędził w Indiach, dał wspaniały popis swej magicznej siły, hipnotyzując jedynie wzrokiem każdego, kto zgłosił chęć poddania się eksperymentowi. W rzeczy samej, dwukrotnie zahipnotyzował całe audytorium (z wyjątkiem dziennikarzy), zabawiając wszystkich nadzwyczajnymi wprost iluzjami. Najciekawszą cechą wykładu było wytłumaczenie metod hinduskich kuglarzy i ich sławnych sztuczek, dobrze znanych z opowiadań podróżników. Profesor oświadczył, że owi magicy osiągnęli taką zręczność w sztuce, której nauczył się pod ich okiem, że dokonują swych cudów wprowadzając po prostu „widzów” w stan hipnozy i mówiąc im, co mają widzieć i słyszeć. Jego twierdzenie, że szczególnie podatny osobnik może być utrzymywany w królestwie iluzji przez całe tygodnie, miesiące, a nawet lata, poddając się wszelkim złudom i halucynacjom, jakimi hipnotyzer zechce go od czasu do czasu doświadczać, jest cokolwiek niepokojące”.

## Zegarek Johna Bartine'a

### Historia opowiedziana przez lekarza

— Dokładna godzina? Mój Boże! Przyjacielu, czemu nalegasz? Ktoś mógłby pomyśleć... ale co to ma za znaczenie; jest już pora udać się na spoczynek... czyż to nie wystarczy? Lecz jeśli koniecznie musisz uregulować swój zegarek, weź mój i sam sprawdź godzinę.

Po tych słowach zdjął z łańcuszka zegarek — olbrzymi, ciężki, staroświecki — i podał mi go; potem odwrócił się i przeszedłszy przez pokój ku półce z książkami, począł oglądać ich grzbiety. Jego niepokój i widoczne rozdrażnienie zaskoczyły mnie; zdawało się, że nie ma żadnego ku temu powodu. Nastawiwszy zegarek według jego, podszedłem do niego ze słowami:

— Dziękuję ci.

Gdy wziął swój czasomierz i począł na powrót go przytwierdzać, spostrzegłem drżenie jego rąk. Z taktem, z jakiego byłem ogromnie dumny, podszedłem wolnym i niedbałym krokiem do kredensu, z którego wyjąłem brandy i wodę; następnie prosząc go o wybaczenie mej bezmyślności zaproponowałem, by również sobie nalał, i wróciłem na miejsce koło ognia, pozwoliwszy mu, by sam się poczęstował, jak to było u nas w zwyczaju. Uczyniwszy to zbliżył się do mnie siedzącego przy kominku, już zupełnie uspokojony.

Ów dziwny drobny incydent zdarzył się w mym mieszkaniu, gdzie John Bartine spędzał wieczór. Zjedliśmy razem kolację w klubie, wróciliśmy do domu dorozką i — krótko mówiąc, wszystko odbyło się w sposób jak najbardziej prozaiczny; dlaczego John Bartine zburzył naturalny i ustalony porządek rzeczy, by zrobić z siebie widowisko okazując wzburzenie najwidoczniej dla własnej uciechy, było dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Im więcej o tym myślałem, nie mogąc skupić uwagi na popisach jego olśniewającej elokwencji, tym bardziej rosła moja ciekawość i oczywiście bez trudu przekonałem samego siebie, że wypływa ona z przyjaznej o niego troski. Ciekawość obiera zwykle tego rodzaju pretekst, by nie narazić się na obrazę. Zburzyłem więc jedno z najładniejszych zdań owego zignorowanego przeze mnie monologu, przerywając przyjacielowi bez żadnych ceregieli.

— Johnie Bartine — rzekłem — proszę, wybac mi, jeśli nie mam racji, lecz w świetle tego, co wiem w tej chwili, nie mogę pojąć, dlaczego straciłeś panowanie nad sobą dzisiejszego wieczoru z przyczyny mego zapytania o godzinę. Nie mogę się zgodzić, by twoja tajemnicza niechęć do spojrzenia na własny zegarek i okazywanie w mej obecności bez żadnego wytłumaczenia przykrych uczuć, które są mi obce i które nie powinny mnie obchodzić, było właściwym zachowaniem.

Na tę śmieszłą przemowę Bartine nie udzielił mi od razu odpowiedzi, usiadł jedynie i utkwiał poważne spojrzenie w ogień na kominku. W obawie, że go obraziłem, miałem właśnie przeprosić go i poprosić, by nie myślał już o tym więcej, gdy, spojrzawszy mi spokojnie prosto w oczy, począł mówić:

— Mój drogi chłopcze, twoje swobodne zachowanie nie maskuje wcale obrzydliwego zuchwalstwa twego żądania; na szczęście jednak postanowiłem już powiedzieć ci to, co chciałbyś wiedzieć, i nawet wszelkie dowody z twojej strony, iż nie jesteś tego godzien, nie zmienią mego postanowienia. Proszę, byś zechciał słuchać uważnie, a dowiesz się wszystkiego o tej sprawie.

— Ten zegarek — rzekł — pozostawał w mojej rodzinie przez trzy pokolenia, nim przypadł mi w udziale. Pierwotnym jego właścicielem, dla którego został wykonany, był mój prapradziad, Bramwell Olcott Bartine, bogaty plantator z kolonialnej Wirginii oraz tak zagozwały torys, że spędzał bezsenne noce starając się obmyślać coraz to nowe przekleństwa pod adresem pana Washingtona, jak również nowe metody współudziału w spisku na rzecz dobrego króla Jerzego. Pewnego razu ów zacny gentleman miał nieszczęście oddać dla owej sprawy usługę wielkiej wagi, która nie została uznana za praworządną przez tych, którzy ponieśli z tej przyczyny straty. Nieważne, co to było, dość że jedną z pomniejszych konsekwencji było aresztowanie pewnej nocy w jego własnym domu mego znakomitego przodka przez grupę rebeliantów pana Washingtona. Pozwolono mu pożegnać się z tonącą we łzach rodziną, a następnie wymaszerowano z nim w ciemność, która pochłonęła go na zawsze. Nigdy nie znaleziono nawet śladu klucza do tajemnicy jego losu. Po wojnie ani najgorliwsze poszukiwania, ani oferta wielkiej nagrody nie doprowadziły do znalezienia porywaczy czy odkrycia jakiegokolwiek faktu dotyczącego jego zniknięcia. Zniknął i koniec na tym.

Coś w zachowaniu Bartine'a, czego nie znalazłem w jego słowach — trudno mi określić, co to było — skłoniło mnie do zapytania go:

— Jaki jest twój pogląd na tę sprawę — czy to było sprawiedliwe?

— Mój pogląd w tej sprawie — wybuchnął uderzając zaciśniętą pięścią w stół, jak gdyby działo się to w miejscu publicznym przy grze w kości z szubrawcami — moje zdanie jest takie, że było to szczególnie nikczemne morderstwo dokonane przez tego przekłętą zdraycę Washingtona i jego obszarpanych buntowników!

Przez kilka minut żaden z nas się nie odezwał: Bartine starał się opanować, a ja czekałem. Wreszcie spytałem:

— Czy to już wszystko?

— Nie; jest jeszcze coś. W kilka tygodni po aresztowaniu mojego prapradziada znale-

ziono jego zegarek na ganku przy drzwiach frontowych jego domu. Owinięty był w arkusz papieru listowego z nazwiskiem Ruperta Bartine'a, jego jedyne go syna, a mojego dziadka. Noszę teraz ów zegarek.

Bartine umilkł. Jego zazwyczaj niespokojne czarne oczy patrzyły nieruchomo na paleniskowa punkciki czerwonego światła odbitego od żarzących się węgielków lśniły w jego źrenicach. Zdawało się, że zapomniał o mej obecności. Nagły trzask gałęzi drzewa stojącego za oknami i nieomal jednoczesne bębnienie deszczu o szyby przywróciły mu świadomość tego, gdzie się znajduje. Rozpętała się burza zapowiedziana pojedynczym, gwałtownym podmuchem wiatru i po paru sekundach dał się wyraźnie słyszeć jednostajny plusk wody na chodniku. Właściwie nie wiem, czemu o tym wspominam, wydaje się jednak, że miało to pewne znaczenie i związek z ową opowieścią, czego obecnie nie jestem w stanie określić. W każdym razie przyczyniło się to do wytworzenia poważnego, nieomal uroczystego nastroju. Bartine podjął swe opowiadanie:

— Żywię jakiś dziwne uczucie w stosunku do tego zegarka — coś w rodzaju przywiązania; lubię mieć go przy sobie, choć częściowo z powodu jego wagi, a częściowo z przychyni, którą zaraz wyjaśnię, rzadko go noszę. Przyczyna owa jest następująca: co wieczór, gdy mam go przy sobie, czuję niezrozumiałą chęć utworzenia go i spojrzenia nań, nawet wówczas, gdy nie widzę żadnego powodu, dla którego chciałbym znać dokładny czas. Gdy jednak ulegam owej zachciance, to w chwili gdy mój wzrok pada na tarczę zegarka, ogarnia mnie jakiś tajemniczy lęk — przecucie grożącego nieszczęścia. Staje się to tym trudniejsze do zniesienia, im bliższa jest godzina jedenasta — na tym właśnie zegarku, niezależnie od tego, jaka jest rzeczywista godzina. Gdy wskazówki miną jedenastą, mija również moja chęć spojrzenia na zegarek; jest mi to już całkiem obojętne. Wówczas mogę spoglądać nań tak często, jak tylko zechcę, bez żadnego wrażenia, tak samo jak ty, gdy patrzysz na swój zegarek. Oczywiście nauczyłem się nie patrzeć na ten zegarek wieczorem przed jedenastą; nic nie mogłoby mnie do tego skłonić. Twoje naleganie dzisiejszego wieczoru nieco mnie zdenerwowało. Czułem się tak, jak przypuszczalnie mógłby się czuć narkoman zażywający opium, gdy jego tęsknota za owym specyficznym, osobliwym rodzajem piekła wzmogłaby się dzięki sprzyjającym okolicznościom i radom.

A więc taka jest ta historia i opowiedziałem ci ją w interesie twej bzdurnej nauki; jeśli jednak jakiegokolwiek jeszcze wieczoru spostrzeżesz, że noszę ten przeklęty zegarek, i okazesz się na tyle bezmyślny, by spytać mnie o godzinę, to bardzo przepraszam, ale będę zmuszony narazić cię na tę przykrość i zrzucić ze schodów.

Jego dowcip nie rozśmieszył mnie. Spostrzegłem, że opowiadając o swym złudzeniu staje się znów cokolwiek niespokojny. Zakończył opowiadanie uśmiechem, który był w istocie grymasem, a w jego oczach pojawiło się coś więcej niż poprzedni niepokój; błędził wzrokiem po całym pokoju pozornie bez celu i odniosłem wrażenie, że oczy jego przybrały dziki wyraz, taki jaki nieraz obserwuje się w wypadkach obłądu. Być może była to jedynie imagi-nacja z mej strony, w każdym razie nabrałem wówczas przekonania, że mój przyjaciel cierpi na szczególnie i ciekawy przypadek monomanii. Nie pomniejszając, jak sądzę, serdecznej dlań troskliwości jako dla przyjaciela, począłem uważać go za pacjenta dającego mi wielkie możliwości korzystnych dla nauki obserwacji. Czemuż by nie? Czyż nie opisał swego złudzenia dla dobra nauki? Ach, biedak, uczynił więcej dla nauki, niż zdawał sobie z tego sprawę: nie tylko jego opowiadanie, lecz on sam był tego dowodem. Byłbym go leczył, gdybym mógł, oczywiście, lecz najpierw chciałem zrobić małe doświadczenie z dziedziny psychologii — powiem nawet, że sam ów eksperyment mógłby być krokiem naprzód ku jego wyzdrowieniu.

— To bardzo szczerze i po przyjacielsku z twej strony, Bartine — powiedziałem serdecznie — i jestem doprawdy dumny z twego zaufania. To wszystko jest z pewnością bardzo dziwne. Czy zechciałbyś pokazać mi ów zegarek?

Odpiął zegarek wraz z łańcuszkiem od kamizelki i podał mi bez słowa. Koperta była ze

złota, bardzo gruba i solidna, osobiwie wygrawerowana. Obejrzałem dokładnie tarczę i spostrzegłszy, że dochodzi godzina dwunasta, otworzyłem kopertę od tyłu; ciekawość moją wzbudziła wewnętrzna koperta z kości słoniowej, na której namalowany był miniaturowy portret ową znakomitą i delikatną techniką, jaka była modna w osiemnastym stuleciu.

— Na Boga! Coś takiego! — wykrzyknąłem z uczuciem wielkiej artystycznej satysfakcji — w jakież to sposób udało ci się znaleźć wykonawcę tego portretu? Myślałem, że malowanie miniatur na kości słoniowej jest już sztuką nie istniejącą.

— To — odpowiedział z poważnym uśmiechem — nie jestem ja; jest to mój prapradziad, śp. Bramwell Olcott Bartine, Esquire, z Wirginii. Był wówczas młody — tak mniej więcej w moim wieku. Mówią, że portret jest do mnie podobny; czy ty też tak uważasz?

— Czy jest do ciebie podobny? Ależ tak! Z wyjątkiem stroju, który, jak się domyślam, włożyłeś w dowód szacunku dla sztuki — lub dla *vraieemblance*, jak bym powiedział — i braku wąsów ten portret jest twoim wizerunkiem w każdym rysie twarzy, w każdej linii i wyrazie.

Po tych słowach obaj zamilkliśmy. Bartine wziął książkę ze stołu i począł czytać. Słyszałem nieustanny plusk deszczu za oknami. Od czasu do czasu dochodziły do mych uszu szybkie kroki na chodnikach; jeden raz wydało mi się, że powolniejsze ciężkie stąpanie ucichło pod moimi drzwiami — policjant, pomyślałem, szukający schronienia w progu domu. Gałęzie drzew uderzały znacząco o szyby, prosząc jak gdyby o pozwolenie wejścia. Zapamiętałem to wszystko przez owe długie lata mądrzejszego, poważniejszego życia.

Widząc, że na mnie nie patrzy, wziąłem staroświecki kluczyk dyndający u łańcuszka i szybko cofnąłem wskazówki zegarka o pełną godzinę; następnie zamknąwszy kopertę podałem Bartine'owi jego własność i stwierdziłem, że na powrót umieścił zegarek na dawnym miejscu przy kamizelce.

— Zdaje się, że powiedziałeś — zacząłem z udaną beztroską — iż po godzinie jedenastej widok tarczy już na ciebie nie działa. Ponieważ dochodzi dwunasta — rzekłem spojrzawszy na własny czasomierz — może, jeśli nie weźmiesz mi za złe chęci przekonania się o prawdziwości twych słów, może spojrzalbyś teraz na swój zegarek.

Uśmiechnął się dobrodusznie, wyciągnął ponownie zegarek, otworzył go i w tej samej chwili zerwał się na nogi z krzykiem, którego niebiosy nie były łaskawe pozwolić mi zapomnieć! Oczy jego, uderzająco czarne przez kontrast z bledością twarzy, utkwione były w zegarku, który ścisnął kurczowo w obu dłoniach. Przez czas jakiś stał tak bez ruchu, nie wydobywszy z siebie żadnego dźwięku; po chwili głosem, którego nigdy bym nie poznał, krzyknął:

— Niech cię diabli wezmą! Jest za dwie minuty jedenasta!

Nie byłem nie przygotowany na podobny wybuch, odpowiedziałem więc dość spokojnie, nie wstając z miejsca:

— Przepraszam cię; musiałem źle odczytać godzinę na twym zegarku, gdy nastawiałem swój według niego.

Zamknął kopertę z ostrym trzaskiem i włożył zegarek do kieszeni. Spojrzał na mnie i zrobił wysiłek, by się uśmiechnąć, lecz dolna warga mu zadrgała i wydawało się, że nie może zamknąć ust. Ręce również mu się trzęsły i wsunął je, zaciśnięte, w kieszenie surduta. Dziełny duch wyraźnie starał się zapanować nad bojaźliwym ciałem. Wysiłek był jednak zbyt wielki; począł się słaniać, jak gdyby miał zawrót głowy, i nim zdążyłem zerwać się z krzesła, by go podtrzymać, nogi ugięły się pod nim, pochylił się niezdarnie do przodu i upadł na twarz. Podskoczyłem, by pomóc mu wstać, lecz John Bartine wstanie dopiero wówczas, gdy i my wszyscy powstanjemy.

Badanie *post mortem* niczego nie wykryło; wszystkie organa miał normalne i zdrowe. Kiedy jednak ciało przygotowano do pogrzebu, spostrzeżono, że wokół szyi wystąpiła lekka ciemna pręga; w każdym razie zapewniało mnie o tym kilka osób, które twierdziły, iż ją widziały; co do mnie, nie mogę powiedzieć, czy było to prawdą.

Nie mogę również określić granic prawa dziedziczności. Nie wiem, czy w świecie ducha uczucie lub sentyment nie mogłoby przeżyć serca, które było tych uczuć siedzibą, i szukać możliwości ujawnienia się w życiu krewnego w innym stuleciu. Z pewnością, gdybym miał snuć domysły co do losu Bramwella Olcotta Bartine'a, wyobraziłbym sobie, że został powieszony o jedenastej wieczorem i że udzielono mu kilku godzin na przygotowanie się do tej wielkiej zmiany.

Co do Johna Bartine'a, mego przyjaciela przez długie lata i pacjenta przez pięć minut, a — niech mi Bóg wybaczy! — mej ofiary na wieczność, nie mam już nic więcej do powiedzenia. Został pochowany i jego zegarek razem z nim — dopilnowałem tego. Niechaj Bóg pozwoli odpoczywać jego duszy w raj, jak również duszy jego przodka z Wirginii, jeśli były to w istocie dwie dusze.

## Mieszkaniec Carcosy

*„Istnieją różnorodne rodzaje śmierci — w niektórych wypadkach ciało pozostaje; w innych znika ono całkowicie wraz z duszą. To zdarza się zwykle tylko na odludziu (taka jest wola boża), a my, nie widząc końca, powiadamy, że człowiek przepadł lub udał się w długą podróż — co istotnie uczynił; jednakże zdarza się to nieraz na oczach wielu, jak wskazują liczne świadectwa. Zdarza się także, jak stwierdzono, że dusza umiera, gdy tymczasem ciało pozostaje krzepkie jeszcze przez wiele lat. Czasem, jak potwierdzają to wiarygodne fakty, zamiera ona wraz z ciałem, lecz po pewnym czasie odradza się znowu w tymże samym miejscu, gdzie ciało uległo rozkładowi”.*

Zadumany nad tymi oto słowami Haliego (niech mu Bóg da wieczne odpoczywanie) i zastanawiając się nad ich pełnym znaczeniem jak ktoś, kto otrzymał wiadomość, wciąż żywi wątpliwości, czy nie kryje się aby za nią coś więcej jeszcze prócz tego, co już sam dostrzegł, nie zwracałem uwagi, dokąd mnie nogi niosą, póty, póki nagły powiew chłodnego wiatru prosto w twarz nie przywrócił mi poczucia rzeczywistości. Stwierdziłem ze zdumieniem, że wszystko wokół wydaje się obce. Ze wszech stron rozciągała się smutna i opustoszała równina pokryta mocno wybujalą, suchą trawą, która szeleściła i świstała na jesiennym wietrze, podsuwając Bóg wie jakie niezrozumiałe i niepokojące skojarzenia. Gdzieś tam ponad trawami sterczały ciemno zabarwione, o osobliwych kształtach skały, które zdały się porozumiewać między sobą i wymieniać nieprzyjemne spojrzenia, jak gdyby podnosiły głowy chcąc być świadkami zakończenia jakiegoś przewidzianego przez siebie wydarzenia. Kilka rozłupanych piorunem drzew wyłaniało się tu i ówdzie niczym przywódcy w owej wrogiej zмовie milczącego wyczekiwania.

Musi być już pełnia dnia, pomyślałem, choć nie widziałem słońca; i mimo iż czułem ostre i chłodne powietrze, świadomość tego faktu odbierałem bardziej rozumem niż zmysłami — nie doznawałem przykrych uczuć. Ponad całym tym smętnym krajobrazem wisiał baldachim ciężkich ołowianych chmur niczym widoma kłątwa. W tym wszystkim tkwiła groźba i zapowiedź niebezpieczeństwa — zły omen, zwiastun zguby. Nie było ani jednego ptaka, zwierzęcia czy owada. Wiatr zawodził w nagich konarach obumarłych drzew, a zszarzała trawa skłaniała się ku ziemi, by szeptać jej swą przerażającą tajemnicę; wszelako żaden inny dźwięk ni ruch nie przerwał straszliwego spokoju owego posępnego miejsca.

Dostrzegłem w trawach sporą ilość zniszczonych upływem czasu i zmienną pogodą kamieni, najwyraźniej obrobionych narzędziami. Były potrzaskane, porośnięte mchem i na pół

zakopane w ziemi. Niektóre leżały na płask, inne pochylały się pod rozmaitym kątem, żaden nie stał pionowo. Były to najwyraźniej nagrobki, choć same mogły już nie istnieć, ani w postaci kopców, ani dołów; upływający czas zrównał wszystko. Z rzadka rozrzucone tu i ówdzie masywniejsze bryły kamienia wskazywały miejsce, gdzie ongiś okazały grobowiec lub wspinały pomnik rzucił słabe wyzwanie czasowi niosącemu zapomnienie. Tak stare zdały się być owe relikty, te ślady pychy ludzkiej i pamiątki uczuć przywiązania i pobożności, tak sponiewierane, zniszczone i zbrukane — tak zaniedbane, opuszczone, zapomniane było to miejsce, że nie mogłem oprzeć się myśli, iż jestem odkrywcą cmentarzyska jakiegoś prehistorycznego ludu, którego nawet nazwa dawno zginęła.

Przepełniony tymi refleksjami, przez pewien czas nie dbałem o to, jakie mogą być następstwa mych własnych przeżyć, niebawem jednak zadałem sobie pytanie: „Jak się tu znalazłem?” Po chwili zastanowienia wszystko wydało mi się oczywiste i równocześnie wyjaśnione, lecz osobliwy charakter, jaki moja wyobraźnia nadała wszystkiemu, co widziałem lub słyszałem, był dość niepokojący. Byłem chory. Wówczas przypomniałem sobie, że leżałem złożony nagłą gorączką; moja rodzina mówiła mi, iż w napadach majaczenia głośnym krzykiem domagałem się wolności i świeżego powietrza i że trzymano mnie w łóżku, by zapobiec ucieczce z domu. A zatem zwiodłem czujność mych opiekunów i przywędrowałem tutaj, idąc do... dokąd? Nie mogłem się domyśleć. Bezsprzecznie znajdowałem się w znacznej odległości od miasta, w którym mieszkałem — wiekowego i słynnego miasta Carcosa.

Nigdzie nie było widać ani słyszeć oznak ludzkiego życia; ani ulatującego dymu, ani szczekania psa, ryku bydła czy krzyków dzieci przy zabawie — nic, tylko posępne cmentarzysko i ten nastrój tajemnicy i grozy, jaki wytworzył mój rozstrojony umysł. Czyż nie zbliża się przypadkiem ponowny atak majaczenia, tu gdzie jestem pozbawiony wszelkiej ludzkiej pomocy? Czyż to wszystko nie jest li tylko złudą, wytworem mego szaleństwa? Począłem głośno wzywać po imieniu me żony i synów, wyciągnąłem ręce w poszukiwaniu ich, mimo iż szedłem wśród rozkruszonych kamieni i zwiędłych traw.

Jakiś odgłos za moimi plecami kazał mi się odwrócić. Zbliżało się dzikie zwierzę — ryś. Przemknęła mi przez głowę myśl: „Jeśli załamie się tu na tym bezludziu... jeśli gorączka wróci i stracę siły, ten zwierz rzuci mi się do gardła”. Skoczyłem z krzykiem do przodu. Zwierzę spokojnie przebiegło obok mnie, dosłownie w zasięgu mej ręki, i zniknęło za skalnym występem.

W chwilę później ujrzałem głowę jakiegoś mężczyzny wychylającego się znad ziemi w niewielkiej ode mnie odległości. Człowiek ów wchodził na odleglejsze zbocze niskiego wzgórza, którego grzbiet prawie nie odróżniał się od reszty równiny. Niebawem cała jego postać ukazała się na tle szarej chmury. Był na pół nagi, na pół odziany w skóry. Włosy miał rozczochrane, brodę długą i zmierzwioną. W jednej ręce dzierżył łuk i strzałę; w drugiej niósł płonąca pochodnię, pozostawiającą długą smugę czarnego dymu. Szedł wolno i ostrożnie, jak gdyby obawiając się, że wpadnie do jakiejś otwartej mogiły ukrytej w wysokiej trawie. Owa osobliwa zjawka wzbudziła moje zdumienie, lecz nie niepokój; obrałem taki kierunek, jaki pozwalał mi zastąpić mu drogę, i pozdrowiłem go zwykłymi słowy: „Niech Bóg ma cię w swojej opiece”.

Człowiek nie zwrócił na mnie uwagi ani nie zwolnił kroku.

— Zacny człowieku — ciągnąłem — jestem chory i zabłądziłem. Pokaż mi, zaklinam cię, drogę do Carcosy.

Mężczyzna jał niespodziewanie śpiewać jakąś barbarzyńską pieśń w nieznanym języku, minął mnie i oddalił się.

Sowa na konarze spróchniałego drzewa zahukała smętnie, a inna odpowiedziała jej tym samym z oddali. Spojrzawszy ku górze, zobaczyłem poprzez nagłe rozdarcie w chmurach Aldebarana i Hiady. Wszystko wskazywało, że była noc — ryś, człowiek z pochodnią, sowa. A jednak ja widziałem — widziałem nawet gwiazdy na jasnym niebie. Ja widziałem, lecz jak

się okazało, mojej osoby ani nie widziano, ani nie słyszano. Pod jakimże straszliwym urokiem się znajdowałem!

Przysiadłem na korzeniu wielkiego drzewa, by poważnie zastanowić się, co mi wypada uczynić. W to, że byłem obłąkany, nie mogłem dłużej wątpić, dostrzegałem jednakże pewną podstawę, pozwalającą nieco podważyć owo przekonanie. Nie miałem nawet śladu gorączki, a przy tym odczuwałem rzeźkość i energię całkiem mi dotąd nie znane — miałem poczucie psychicznego i fizycznego uniesienia. Moje zmysły zdały się być w pogotowiu, odczuwałem powietrze jako ciężką materię, słyszałem ciszę.

Potężny korzeń olbrzymiego drzewa, o którego pień się opierałem siedząc, uwięził w swych objęciach płytkę kamienną; część owej płytki wsuwała się w zakamarki innego korzenia, kamień przeto był częściowo osłonięty przed niszczycielskim działaniem pogody, choć mimo to wielce ucierpiał. Jego krawędzie były starte, narożniki wyżarte, powierzchnia głęboko poryta i obtłuczona. Połyskliwe łupki miki lśniły wokół na ziemi — ślady zniszczenia. Kamienna ta płyta najwyraźniej oznaczała grób, z którego przed wiekami wyrosło drzewo. Rozpychające się korzenie zawładnęły mogiłą i uwięziły nagrobek.

Nagły podmuch wiatru zmiotł kilka zeschniętych liści i gałązek z górnej części lica kamienia. Ujrzałem wyryte litery inskrypcji i schyliłem się, by je odczytać. Panie na wysokościach! M o j e nazwisko i imię w pełnym brzmieniu! Data m e g o urodzenia! Data m e j śmierci!

Poziomy snop światła opromienił całą jedną stronę drzewa, gdy w przerażeniu skoczyłem na równe nogi. Słońce wstawało na różowym wschodzie. Stałem pomiędzy drzewem a szeroką czerwoną tarczą słoneczną — żaden cień nie omroczył pnia!

Chór wyjących wilków pozdrowił świt. Widziałem je siedzące na zadach, pojedynczo i grupami, na szczytach nieregularnych kopców i kurhanów wypełniających cały pustynny krajobraz, jaki miałem przed oczyma, i sięgających aż po widnokrąg. I wówczas pojąłem, że jestem wśród ruin wiekowego i słynnego miasta Carcosa.

Takie oto są fakty przekazane medium Bayrolles przez ducha Hoseiba Alara Robardina.

## Nieznajomy

Jakiś mężczyzna wyłonił się z ciemności i wszedłszy w niewielki krąg światła wokół dogasającego obozowego ogniska, usiadł na głazie skalnym.

— Nie wy pierwsi przeszukujecie tę okolicę.

Nikt nie zaprzeczył temu stwierdzeniu; on sam był żywym dowodem owej prawdy, albowiem nie należał do naszej wyprawy i musiał przebywać cały ten czas w pobliżu naszego obozu. Ponadto musiał mieć towarzyszy niedaleko stąd; nie było to miejsce odpowiednie do samotnego zamieszkiwania czy podróżowania. Przez ponad tydzień widywaliśmy, prócz samych siebie i naszych zwierząt, jedynie takie żywe istoty, jak grzechotniki i rogate ropuchy. Na pustyni Arizony nie można dłuższy czas współistnieć z takimi tylko stworzeniami jak te: trzeba mieć zwierzęta juczne, zapasy, broń — „ekwipunek”. A wszystko to wymaga współtowarzyszy. Być może niepewność co do tego, jakiego pokroju ludźmi okazać się mogą towarzysze owego bezceremonialnego nieznajomego, jak również coś w jego słowach, co zabrzmiało jak wyzwanie, stało się przyczyną tego, że każdy z nas, całe pół tuzina „gentlemenów — poszukiwaczy przygód” usiadło i położyło rękę na broni — gest oznaczający w owym czasie i miejscu taktykę wyczekiwania. Nieznajomy nie zwrócił na to najmniejszej uwagi i począł znów mówić tym samym powolnym, niezmiennie monotonnym głosem, którym wypo-

wiedział pierwsze zdanie:

— Przed trzydziestoma laty Ramon Gallegos, William Shaw, George W. Kent i Berry Davis, wszyscy z Tucson, przebyli góry Santa Catalina i udali się na zachód, tak dokładnie na zachód, jak tylko na to pozwalała konfiguracja terenu. Poszukiwaliśmy złota i zamiarem naszym było, jeśli niczego nie znajdziemy, przeprowić się przez Rzekę Gila w którymś miejscu w pobliżu Wielkiego Zakola, gdzie jak wnioskowaliśmy, leżała jakaś osada. Mieliliśmy dobre wyposażenie, lecz żadnego przewodnika — byli jedynie Ramon Gallegos, William Shaw, George W. Kent i Berry Davis.

Mężczyzna powtórzył owe nazwiska wolno i wyraźnie, jak gdyby chcąc wryć je w pamięć słuchaczy; wszyscy bacznie go teraz obserwowali, aczkolwiek z mniejszą już uwagą, wypatrując jego towarzyszy przyczajonych prawdopodobnie gdzieś w ciemności, która zdawała się zamykać wokół nas niczym czarna ściana; w sposobie bycia owego historyka z własnej woli nic nie wskazywało na nieprzyjazne zamiary. Zachowywał się raczej jak nieszkodliwy szaleniec, a nie wróg. Owa kraina nie była nam na tyle nie znana, abyśmy nie wiedzieli, że u wielu mieszkańców równin samotne życie często rozwija dziwactwa w zachowaniu i charakterze, nie zawsze łatwo dające się odróżnić od zaburzeń umysłowych. Człowiek jest jak drzewo: w lesie swych bliźnich rośnie tak prosto, jak tylko na to pozwala gatunkowa i indywidualna natura; sam na otwartej przestrzeni, ulega deformującym siłom i szkodliwemu działaniu otoczenia. Takie i tym podobne myśli zaprzętały mi głowę, gdy obserwowałem owego nieznanego spod ronda kapelusza nasuniętego głęboko na oczy, by uchronić je przed blaskiem ogniska. Facet niespełna rozumu, niewątpliwie, lecz cóż on może tu robić w samym sercu pustyni?

Podjąwszy się opowiedzenia tej historii chciałym móc opisać powierzchowność owego człowieka; byłoby to całkiem naturalne. Niestety, muszę stwierdzić, co jest dość osobliwe, że nie jestem w stanie tego uczynić z całą odpowiedzialnością, albowiem nieco później nie znalazły się wśród nas choćby dwie osoby, które zgodziłyby się ze sobą co do jego ubioru i wyglądu; a wszelkie próby sprecyzowania moich własnych wrażeń zawodzą mnie. Każdy potrafi opowiedzieć jakąś historię; gawędzenie jest jedną z podstawowych zdolności rodzaju ludzkiego. Jednakże umiejętność opisywania jest darem niebios.

Nikt nie przerwał milczenia, wobec czego nasz gość mówił dalej:

— Ten kraj nie był wówczas tym, czym jest teraz. Nie było żadnej farmy między Rzeką Gila a Zatoką. W górach spotykało się gdzieś trochę zwierzyny, a w pobliżu nielicznych wyschniętych nieomal koryt rzecznych znajdowało się dość trawy, by nasze zwierzęta nie przymierały głodem. Gdybyśmy mieli tyle szczęścia, by nie spotkać Indian, moglibyśmy się przedostać. Jednakże nim upłynął tydzień, cel wyprawy zmienił się — nie odkrycie bogactwa, lecz utrzymanie się przy życiu stało się naszym jedynym zadaniem. Zaszliśmy zbyt daleko, by wracać, albowiem to, co było przed nami, nie mogło już być gorsze od tego, co pozostawiliśmy za sobą; a zatem posuwaliśmy się konno naprzód, jadąc nocą, by uniknąć spotkania z Indianami i nieznośnego upału, a we dnie ukrywając się najlepiej, jak potrafiliśmy. Nieraz, wyczerpawszy zapas dziczyzny i opróżniwszy nasze beczułki, całymi dniami żyliśmy bez jedzenia i picia; czasem jakaś kałuża w wyschniętym korycie rzeki lub płytka sadzawka na dnie jakiegoś *arroyo* \* na tyle wzmocniła nasze siły fizyczne i psychiczne, że byliśmy w stanie upolować kilka sztuk z tych dzikich zwierząt, które również usiłowały ugasić pragnienie. Niekiedy był to niedźwiedź, czasem antylopa, kojot, kuguar — co Bóg dał; wszystko było pożywieniem.

Pewnego ranka, gdy jechaliśmy skrajem jakiegoś pasma gór w poszukiwaniu dogodnego przejścia, zaatakowała nas zgraja Apaczów, ciągnących naszym tropem w górę wąwozu — to niedaleko stąd. Wiedząc, że mają przewagę liczebną nad nami dziesięciu do jednego, nie

\* źródółka.



podjęli żadnych ze swych zwykłych tchórzliwych środków ostrożności, lecz uderzyli na nas w pełnym galopie, strzelając i wrzeszcząc. O walce nie było mowy: popędzaliśmy nasze wyczerpane zwierzęta w górę wąwozu dopóty, dopóki mogły znaleźć oparcie dla kopyt, po czym zeskoczyliśmy z siodeł i skierowaliśmy się ku *chaparral* \* na jednym ze zboczy, pozostawiając cały nasz ekwipunek wrogowi. Zatrzymaliśmy sobie jednak strzelby, wszyscy — Ramon Gallegos, William Shaw, George W. Kent i Berry Davis.

— Wciąż ta sama kompania — podchwycił dowcipniś z naszej wyprawy. Pochodził on ze Wschodu i obce mu były zasady grzeczności w stosunkach towarzyskich. Uciszył go gest nagany ze strony dowódcy naszej wyprawy, a nieznajomy podjął na nowo swą opowieść:

— Dzicy również posiadali z koni, a niektórzy z nich pobiegli w górę wąwozu poza miejsce, w którym zeń wyszliśmy, odcinając nam drogę odwrotu i zmuszając nas do wspina się na zbocze góry. Niestety, *chaparral* rozciągał się jedynie na niewielkiej powierzchni stoku i wyszedłszy na otwartą przestrzeń powyżej dostaliśmy się pod ostrzał tuzina strzelb; jednakże Apacze w pośpiechu strzelają kiepsko i Bóg zrządził, że żaden z nas nie poległ. W odległości dwudziestu jardów w górę zbocza, poza skrajem zarośli wyrastały pionowe skały, w których dokładnie naprzeciwko nas widniała wąska szczelina. Wbiegliśmy do niej. Znaleziliśmy się w pieczarze wielkością odpowiadającej przeciętnej izbie mieszkalnej. Tam chwilowo byliśmy bezpieczni: jeden człowiek z karabinem automatycznym mógł sam skutecznie bronić wejścia przed wszystkimi Apaczami w całym kraju. Lecz przed głodem i pragnieniem nie było obrony. Na odwadze nam nie zbywało, nadzieja jednak była już tylko wspomnieniem.

Nie widzieliśmy już potem ani jednego z owych Indian, lecz wiedzieliśmy, sądząc po dymie i blasku ich ognisk w wąwozie, że dzień i noc czuwają na skraju zarośli z bronią gotową do strzału; wiedzieliśmy, że jeśli wyjdziemy na otwartą przestrzeń, żaden z nas nie zdąży zrobić nawet trzech kroków. Wytrzymałszy trzy dni, czuwając na zmianę, lecz potem nasze cierpienie stało się nie do zniesienia. Wówczas — było to rankiem czwartego dnia — Ramon Gallegos rzekł:

— Señores, niewiele wiem o dobrym Bogu ani o tym, co mu jest miłe. Żyłem dotąd bez religii i nie znam tej, która jest waszą. Wybaczcie mi, señores, jeśli was gorszę, ale dla mnie nadszedł czas, by ubić zwierzynę Apacza.

Ukląkł na skalistym klepisku grotu i przytknął pistolet do skroni. — Madre de Dios — rzekł — oto przybywa dusza Ramona Gallegosa.

I tak oto opuścił nas — Williama Shawa, George'a W. Kenta i Berry'ego Davisa.

Ja byłem dowódcą wyprawy i winienem był przemówić.

— Był on dzielnym człowiekiem — rzekłem — wiedział, kiedy umrzeć i jak. Rzeczą niedorzeczną jest oszaleć z pragnienia i polec pod kulami Apaczów lub być odartym żywcem ze skóry — to w złym guście. Połączmy się z Ramonem Gallegosem.

— Słusznie — rzekł William Shaw.

— Słusznie — rzekł George W. Kent.

Ułożyłem prosto ciało Ramona Gallegosa i przykryłem mu twarz chustką. Wówczas William Shaw rzekł:

— Chciałbym tak wyglądać... przez jakiś czas.

George W. Kent powiedział, że również ma takie życzenie.

— Tak się stanie — rzekłem — czerwone diabły poczekają sobie tydzień. Williamie Shaw i George W. Kencie, zbliżcie się i przykleknijcie.

Uczynili tak, a ja stanąłem przed nimi.

— Wszechmocny Boże, Ojciec nasz — rzekłem.

— Wszechmocny Boże, Ojciec nasz — rzekł William Shaw.

\* laskowi dębowemu.

— Wszchemocny Boże, Ojcie nasz — rzekł George W. Kent.

— Odpuść nam grzechy nasze — rzekłem.

— Odpuść nam grzechy nasze — rzekli.

— I przyjmij dusze nasze.

— Amen!

— Amen!

Ułożyłem ich obok Ramona Gallegosa i przykryłem im twarze.

Powstało nagłe poruszenie po przeciwnej stronie obozowego ogniska: jeden z członków naszej wyprawy skoczył na równe nogi z pistoletem w dłoni.

— A ty! — wrzasnął — ty ośmieliłeś się uciec? Ośmielasz się żyć? Ty tchórzliwy psie, wyślę cię tam, gdzie ty ich wysłałeś, nawet jeśli bym miał za to wisieć!

Lecz nasz dowódca przyskoczył doń niczym pantera i chwycił go za przegub ręki. — Schowaj to, Samie Yountseyu, schowaj to!

Wszyscy zerwaliśmy się na nogi — z wyjątkiem nieznajomego, który siedział nieporuszony i najwyraźniej nie zważał na to, co się wokół niego działo. Ktoś inny chwycił Yountseya za drugie ramię.

— Kapitanie — powiedziałem — tu się coś nie zgadza. Ten człowiek jest albo obłąkany, albo zwykłym kłamcą — po prostu najzwyklejszym, pospolitym kłamcą, którego Yountsey nie ma potrzeby zabijać. Jeśli ten człowiek należał do tamtej wyprawy, liczyłaby ona pięciu członków, z których jednego — prawdopodobnie siebie samego — nie wymienił.

— Tak — przytaknął dowódca uwalniając zapaleńca, który usiadł — jest tam coś... niezwykłego. Przed laty u wejścia do owej groty znaleziono cztery ciała białych, oskalpowane i bestialsko okaleczone. Są tam pochowane; widziałem groby. Wszyscy jutro je zobaczymy.

Obcy przybysz wstał i wydał nam się bardzo wysoki w blasku dogasającego ognia, który zapomnieliśmy podsycać przysłuchując się z zapartym tchem opowieści owego nieznajomego.

— Było czterech — rzekł — Ramon Gallegos, William Shaw, George W. Kent i Berry Davis.

Po owym wielokrotnie już powtórzonym apelu zmarłych odszedł w ciemność i nie ujrzelśmy go nigdy więcej.

W tej samej chwili jeden z naszych, który pełnił wartę, wpadł między nas nieco podniecony, z karabinem w ręku.

— Kapitanie — rzekł — przez ostatnie pół godziny trzech ludzi stało tam na *mesa*. — Wskazał w kierunku obranym przez nieznajomego. — Widziałem ich wyraźnie, gdyż świeci księżyc, ale ponieważ nie mieli broni, a ja trzymałem ich na muszce, uważałem, że do nich należy zrobić pierwszy krok. Nie zrobili żadnego, ale niech to diabli! Zdenerwowali mnie.

— Wracaj na posterunek i zostań tam, dopóki ich znowu nie ujrzysz — rzekł dowódca. — Reszta kłaść się na powrót, bo jak nie, to dam kopniaka i powrzucam was wszystkich do ognia.

Wartownik posłusznie oddalił się klnąc pod nosem i nie powrócił. Gdy układaliśmy sobie koce, porywczy Yountsey spytał:

— Przepraszam, kapitanie, za kogo, do diaska, ich pan wziął?

— Za Ramona Gallegosa, Williama Shawa i George'a W. Kenta.

— A co z Berry Davisem? Powiniennem był go zastrzelić.

— Całkiem zbyteczne; nie mógłbyś uśmiercić go bardziej. Idź spać.

## Postłowie

Nie jest to autor, który przynosi czytelnikowi pokrzepienie serc. Po jego lekturze nie odnajdujemy się w świecie bezpiecznym i pewniejszym, nie odsłaniają się przed nami ukryte zręby ładu i porządku kosmicznego, dając poczucie pewności i wskazując niezachwiane reguły postępowania.

Oto i czas, i przestrzeń przestają nas chronić. Wszystko jest bowiem wszechobecne. Pragniemy wprawdzie zmartwychwstania umarłych, ale może silniej pragniemy ich pogrzebać. Pragniemy, aby odeszli i nie nawiedzali nas więcej, aby przeszłość nie wracała i nie straszyla nas swoim krwawym widmem. Ale Bierce odmawia nam tego prawa. Nie udaje się odgrodzić bezpiecznym murem od tego, co wydarzyło się w przeszłości. Czas, miast unicestwiać rzeczy minione, odsuwa, odkłada je tylko w inną warstwę rzeczywistości i pozwala im stamtąd wracać, aby budziły przerażenie żyjących. Tak wraca śmierć powieszonoego dziadka Johna Bartine'a, jak gdyby zamknięta w jego zegarku, tak wraca morderstwo Janet McGregor w na pół rozwalonej chatce, w której po wielu latach nocuje narrator.

Przeszłości nie da się zabić, jest nieśmiertelna, nie sposób się od niej uwolnić, prześladowuje nas bez końca, czas bowiem nie jest linearny, jest gromadzeniem, nie zaś unicestwianiem; żyjemy w atmosferze gęstej od wibracji minionych zdarzeń, wszystko jest współobecne. Zresztą nie tylko przeszłość, ale i przyszłość. Nie ma jednak żadnej pociechy w tej nieśmiertelności. Albowiem wynika z niej tylko to, że dusząca ręka grozy nigdy nie opadnie z naszego gardła, że ból raz zadany powtarza się wiecznie, jego krzyk nigdy nie umilknie, żadną ekspiacją nie uciszony, żadną ofiarą nie prześlągany. Wszystkie religie świata wierzą w ekspiację, w zadośćuczynienie, w możliwość przywrócenia naruszonego przez zbrodnię ładu etycznego kosmosu. Dla Bierce'a owo przywrócenie ładu, raz naruszonego, nie wydaje się możliwe. To co raz zranione, nigdy nie przestanie krwawić, stąd powtarzalność nieubłagana tych samych gestów, tych samych zbrodni, od których wiemy, że nie uwolnimy się nigdy. Tak Ramon Gallegos, William Shaw, George W. Kent i Berry Davis będą wiecznie krążyć wokół pustej jaskini w górach Arizony, gdzie spotkała ich śmierć.

W *The Devil's Dictionary* Bierce pisze, że duch to zewnętrzny i widzialny znak wewnętrznego strachu. Duchy pojawiające się w jego utworach nie dają się wyegzorcyzmować, powracają surowe i nieubłagane. Nie obiecuje ani przebaczenia, ani zapomnienia. Wydani ciemnym siłom, nigdzie nie znajdziemy ratunku. Ta nadprzyrodzoność pozbawiona jest Boga, tak jak później dla nadrealistów dziwność, nie dająca się objąć racjonalistycznymi ramami naszego społecznego świata, nie odwołuje się do osobowego Boga, jest raczej przejawem absurdalności istnienia. Jeśli dla chrześcijanina dziwny zbieg okoliczności może wydać się znakiem wyższej woli, owym „palcem Bożym” (piorun spadający na Balladynę jest znakiem wyższej sprawiedliwości), to tutaj nie wyraża on zasady ładu, ale po prostu dziwność istnienia wymykającą się naszym kategoriom, szyderstwo istnienia, drwinę bezinteresowną, choć naszym kosztem, jak owa śmierć Henry'ego Armstronga, który, pogrzebany żywcem, odkopany zostaje przez studentów poszukujących trupów do sekcji, by zginać, tym razem definitywnie, od ciosu łopaty grabarza.

Twórczość Bierce'a osadzona jest w realiach „dzikiego zachodu” i Kalifornii z drugiej połowy zeszłego wieku. Bohaterami jego opowieści bywają często samotnie żyjący osadnicy lub poszukiwacze złota wędrujący dzikimi wąwozami gór wśród utarczek z Indianami. Także życie małych miasteczek i amerykańskiej „middle class” przyciąga jego uwagę. Ale nie tyle studium obyczajów, choć nieraz i one znajdują w nim spostrzegawczego malarza, czy zgłębianie psychologii postaci, motywacji postępków, sprężyn zbrodni (nie wiemy, dlaczego Manton zamordował żonę i dzieci!) absorbuje naszego autora. Opowieści jego przeniknięte są obecnością owej drugiej rzeczywistości, przed którą nie ma ucieczki i wybawienia. A składa się na nią wszystko to, co silnie doznawane, nie wygasa nigdy. Jak gdyby nasze przeżycia, te najintensywniejsze, oderwane od podmiotu, który ich doznał, nabierały własnego istnienia i powracały wiecznie jak echo nigdy nie milknące. Niczego nie można zapomnieć — głosi Bierce — choć nie musi być to pamięć jednostkowa, pamiętają ściany i kamienie, wszystko gromadzi się i pozostaje w tym świecie. Silas Deemer wciąż sprzedaje w swoim sklepie, mimo że dawno umarł. Kosmos jest wielką pamięcią, która przechowuje wszelkie ślady, i my sami jesteśmy wiązką owych śladów.

Powiedziałem, że świat Bierce'a to świat, w którym nic nie umiera. Ale wiemy już, że nie jest to

dobra nowina. Wynika bowiem z tego tylko, że nigdy nie uda się nam przewyciężyć przeszłości, że zawsze ciężać będzie ona na naszej psychice, że nie zdołamy stworzyć zintegrowanej osobowości panującej nad przeżyciami, przeciwnie, oderwane od nas uczucia, uzyskując samodzielną egzystencję, nie przestaną nas straszyć jawiąc się jako widma. Jest to proklamacja zwycięstwa żywiołu nad porządkującą zasadą podmiotu. Nie ja władam moimi uczuciami, ale one, wyrwawszy się spod mojej kontroli, błądzą po bezdrożach strasząc nocnych wędrowców.

Ambrose Bierce urodził się w ubogiej rodzinie farmera w 1842 r., zaginął w czasie rewolucji w Meksyku w 1913 r. Pracował jako dziennikarz, głównie w San Francisco; jego życie rodzinne nie ułożyło się szczęśliwie, starszy syn zginął w bójce, młodszy zmarł wskutek alkoholizmu.

Mógłby być uważany za jednego z prekursorów „czarnej literatury” naszego wieku.

*Jan Prokop*

## Spis treści

Tajemnica Wąwozu Macargera ( <i>The Secret of Macarger's Gulch</i> )	02
Pewnej letniej nocy ( <i>One Summer Night</i> )	06
Nawiedzona dolina ( <i>The Haunted Valley</i> )	07
Dzban syropu ( <i>A Jug of Sirup</i> )	14
Halucynacje Staleya Fleminga ( <i>Staley Fleming's Hallucination</i> )	18
Odzyskana tożsamość ( <i>A Resumed Identity</i> )	19
Mały włóczęga ( <i>A Baby Tramp</i> )	23
Nocne harce w Trupim Wąwozie. Historia, która jest nieprawdziwa ( <i>The Night-Doings at „Deadman's” A Story That is Untrue</i> )	26
Za ścianą ( <i>Beyond the Wall</i> )	30
Psychologia pewnej katastrofy ( <i>A Psychological Shipwreck</i> )	36
Środkowy palec prawej nogi ( <i>The Middle Toe of the Right Foot</i> )	38
Pogrzeb Johna Mortonsona ( <i>John Mortonson's Funeral</i> )	44
Królestwo iluzji ( <i>The Realm of the Unreal</i> )	45
Zegarek Johna Bartine'a. Historia opowiedziana przez lekarza ( <i>John Bartine's Watch A story by a physician</i> )	49
Mieszkaniec Carcosy ( <i>An Inhabitant of Carcosa</i> )	53
Nieznajomy ( <i>The Stranger</i> )	55
Posłowie	59